

nadodrze

ZIELONA GÓRA 26 I 1986 — 8 II 1986 R.
ROK XXX NR 2 [607] CENA 15 ZŁ

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY



Ryszard Rowiński

500-600 milionów złotych. Możemy wy-
dawać 120,150 milionów złotych. Moż-
na za tę sumę kupić, dwie, trzy maszy-
ny. Proces dekapitalizacji nie zostaje
zatrzymany. Rozpoczęte w latach sie-
demdziesiątych inwestycje, dla fabry-
ki niezbędne, potem zostały zablokowane.
Teraz je odblokowano. Na papierze. Na
targach międzynarodowych Dozamet
wystawił oparty o nową zasadę dzia-
łania model maszyny do mas formier-
skich. Mógł to być szlagier, ale nim
nie został. Z powodu gabarytów szafy
sterowniczej z elektroniką. Mikropro-
cesory zmniejszyłyby wielkość szafy ste-
rowniczej wielokrotnie. Ale mikropro-
cesorów nie ma.

4

Dozamet traci zdolność wprowadza-
nia innowacji. W ostatnich latach ca-
ła gospodarka narodowa przeżywała
powszechnie znane trudności, zwięsz-
cza zaopatrzeniowe. W tej sytuacji, ca-
ła energia kadry zarządzającej ukie-
runkowana została na podtrzymanie
produkcji. Utrzymano się na powierzchni.
Uznać to trzeba za sukces. A
jednak, podtrzymanie produkcji, wy-
wiązanie się ze zobowiązań produkcyj-
nych, kosztowało wiele. Poważnie os-
łabiona została cała służba podtrzy-
mania ruchu, służba remontowa, pro-
totypownia. Pracownicy opuszczali te
ważne dla fabryki wydziały. Rysunki
z biura konstrukcyjnego wędrują do
sejfu. Nie mają materializacji w pos-
taci prototypów, które trzeba wielo-
rotnie sprawdzać w działaniu. Osłabie-
nie służb remontowych stało się po-
wodem przyspieszenia procesu degra-
dacji parku maszynowego. Pracowni-
cy biura konstrukcyjnego, specjalizują-
cy się przez całe lata, mając świadom-
ość twórczości adresowanej do szu-
fady, przynajmniej niektórzy, zaczęli
rozwglądać się za bardziej lukratywnym
zajęciem. Bo skierowanie całej energii
na podtrzymanie produkcji, stymu-
lowanie jej za pomocą pieniędzy, zbu-
rzyło racjonalny system placowy. Czło-
wiek z ulicy, po rutynowym przesko-
czeniu z bezpieczeństwa i higieny pracy,
zatrudniony przy czyszczeniu odlewów
— a jest to zajęcie bardzo wyczerpu-
jące, zarabiał 40 tysięcy złotych. Inży-
nier po obronieniu dyplomu — 7 tysięcy,
po ukończeniu stażu niewiele ponad dzie-
sięć tysięcy. Jak się będzie starał, o-
trzyma szansę dogonienia przy kasie
sprzątań. Otrzymując funkcję i do-
datek, przybliży się do średniej placow-
ej wynoszącej 20 tysięcy.

Naczelnym dyrektorem jest na dziesiątym
miejscu fabrycznej listy plac — po
czyszczaczach odlewów. Jego zastępcy,
też wysoko honorowani, zamykają dru-
gą i otwierają trzecią dziesiątkę. Ich
zarobki budzą zazdrość tych, co otrzy-
mują znacznie mniej, choć dyplom mgr
inż. też mają w kieszeni.

Kreowana przez doraźne działania ta
bela placowa, jest potwierdzeniem te-
zy, że im wyższe kwalifikacje — do-
tyczy to również pracowników fizycz-
nych o najwyższych kwalifikacjach, ślu-
sarzy narzędziowych, tokarzy, frezerów,
monterów, mechaników — tym place
niższe. Centrum ma w tej kwestii swo-
je zdanie. Minister płacy i pracy powia-
da, że inżynier powinien zarabiać przy-
najmniej o 30 procent więcej od gór-
nych stawek pracowników fizycznych

Ciąg dalszy na str. 4



Fot.: CZESŁAW LUNIEWICZ

NIE RZUCIM ZIEMI...

Rozmowa z doc. dr hab. Joachimem Benyskiewiczem
- dziekanem Wydziału Humanistycznego WSP w Zielonej Górze

— 41 lat temu, w mroźną zimę
1945 r. witał pan, jeszcze jako kilku
nastoletni młodzieniec, wkraczających
do rodzinnego Nowego Kramaska żoł-
nierzy Armii Radzieckiej. Wtedy być
może nie zdawał pan sobie z tego spra-
wy, dzisiaj jednak niewątpliwie do-
strzegając symbolikę tego faktu —
zamknięcie historycznego rozdziału w
naszych, tysiącletnich stosunkach z
Niemcami.

— Istotnie, historyczny wymiar tego
faktu uświadomiłem sobie znacznie
później, ale pamiętam go jako jeden
z wielu pełnych napięcia dni, w któ-
rych oczekiwaliśmy na coś, co nieu-
chronnie miało nastąpić. Siedzieliśmy
ukryci w piwnicy domu na skraju
wsi. W pewnym momencie ktoś po-
wiedział, że Rosjanie idą — zdecydow-
aliśmy z przyjaciółmi wyrzucić na
zewnątrz. I tu dostrzegliśmy dwu zna-
nych obywateli — Jana Cichego i Fe-
liksa Piweckiego, późniejszego sołtysa,
którzy formowali obywatelską dele-
gację powiatową. Jakoż wkrótce poja-
wił się radziecki czołg — czołgistów
powitano kwiatami, chlebem i solą.
Było wiele radości, białoczerwone fla-
gi na budynkach. Walk o Nowe Kram-
sko nie było. Pamiętam także, że ro-
syjskie czołgi, jakby chcąc oszczędzić
wiesi, okrażyły ją, zniszczeniu uległa
tylko jedna stodoła i dom, w którym
przed wojną mieściła się polska szko-
ła, w czasie wojny zaś placówka ges-
tapo. Przez wieś przejechał tylko je-
den czołg i był to jakby salut,

— W taki sposób dokonał się akt
sprawiedliwości dziejowej, tak dla was
ważny.

— Przeżywalismy to już wcześniej,
obserwując ucieczkę mieszkających tu
Niemców. Na długo przed Poczdamiem
mielismy pewność, że w momencie
przejścia frontu ziemię tę będą polskie.
Była to pewność nieczym wtedy nie
uzasadniona, przecież nie słuchaliśmy
radia, nie czytaliśmy gazet. Zyla je-
szcze pamięć zmarłego w naszym
przypadku wysiłku Powstania Wilkopol-
skiego. A jednak była ta pewność. Prze-
jawiało się to w spontanicznym tworze-
niu polskiej administracji, szkoły, mili-
cji. Nikt nie czekał na oficjalne decyzje.

— Możemy teraz spokojnie porozma-
wiać o tysiącletnich dziejach naszych
stosunków z Niemcami, które w po-
tocznym polskim rozumieniu kojarzą
się często z niesławnym „Drang nach
Osten”, z wszystkimi fatalnymi dla
nas w końcu konsekwencjami.

— Nie sądziłbym tego tak jednozna-
cznie, przynajmniej w odniesieniu do
początkowej fazy tych stosunków. O-
czywiście, początki państwa polskiego,
związane były z walkami pogranicz-
nymi z niemieckimi margrabiemi, któ-
rzy jednak nie reprezentowali wiel-
kich idei germańskich, realizując je-
dynie doraźne cele militarne. Ale dzie-
je Polski i Niemiec w wiekach śred-
nich to nie tylko konfrontacja mili-
tarna. W XIII wieku zapoczątkowana

została nowa odmiana ekspansji, jaką
była kolonizacja niemiecka. W grun-
cie rzeczy związana przez cały czas z
naszymi wzajemnymi stosunkami. Po-
czątkowo nie miała ona charakteru ag-
resywnego, wynikała m.in. z sytuacji
gospodarczej i etnicznej sąsiadujących
z sobą organizmów państwowych. Jed-
nakże osadnicy niemieccy, zawiadnaw-
szy niektórymi osadami, czy częścią
terytoriów pogranicznych swą ruch-
liwością, wyższym stanem kultury praw-
nej, urbanistycznej czy gospodarczej,
majoryzowali często ludność miejscow-
ą, spychając ją na peryferie. Tak
było na środkowym Nadodrzu, także
w Zielonej Górze. Stwarzało to posz-
cześnie dla polskiej administracji, mo-
żliwość penetracji politycznej na za-
chodzie i północy a nawet w centrum
Polski. Nie trudno dostrzec, że kolo-
nizacja na Dolnym Śląsku i Pomorzu
Zachodnim wyprzedziła późniejsze roz-
wiązania polityczno-terytorialne. Tak
więc można powiedzieć, że dokonują-
ce się w średniowieczu procesy kolo-
nizacyjne stały się później, w dogod-
nym historycznie momencie, uzasad-
nieniem agresji politycznej, dając po-
wody do roszczeń wobec ziem zamiesz-
kałych przez ludność niemiecką. Zna-
lazło to swój szczytny wyraz w cza-
sie późniejszym, mimo Grunwaldu i
Holdu Pruskiego. Albowiem trudno by

Ciąg dalszy na str. 5

Przy ulicy Nowotki w Nowej Soli
stoi długi mur. Zastania okopcone ha-
le, z których niejedna zbudowana zo-
stała w czasie, gdy do języka wcho-
dziły słowa automobil i aeroplan. Słu-
ży w murze pilnuje straż przemysłowa,
która ma być czujna, jak twierdzą
złotliwi i niesprawiedliwi, aby refor-
ma gospodarcza nie przedostała się do
Dolnośląskich Zakładów Metalurgicz-
nych, skrótu telegraficzny Dozamet, bez
właściwej przepustki.

Nawoływanie do czujności jest po-
czasie. Reforma już jest. Za jej ofia-
ry uważają się wszyscy: Administracja,
Czynnik społeczny, Robotnicy. Zwięsz-
cza wtedy, gdy na stanowisku
montażowym brak jest sprężyn i śrub.
I każdy, na swój sposób, chciałby re-
formę oświecić i wychować, jest ona bo-
wiem, dziełem IX Zjazdu, niedoskona-
ła.

Jest taka, a powinna być taka, po-
wiadają.

2

Jest Dozamet największym zakła-
dem przemysłowym Zielonogórskiego.
Zatrudnia prawie cztery tysiące pra-
cowników. Ubiegłoroczna wartość pro-
dukcji wyniosła ponad 7 miliardów
złotych. Słowo „ponad” znaczy tu 40
milionów złotych, więc tyle, ile wy-
nosi wartość produkcji niejednego zak-
ładu przemysłowego. Wartość majątku
trwałego tego odlewniczego kolosa —
są to kryteria księżycowe — obliczona
została na 4,5 miliarda złotych. Sza-
cunek jest księżycowy dlatego choć-
by, że za 40 miliardów, takiej fab-
ryki nie można zbudować. Niskie szacu-
ki majątku trwałego powodują, niskie
odpisy amortyzacyjne, kształtują ce-
ny wyrobów, wpływają na płace i ko-
szy produkcji.

— Jesteśmy biedni, powiadają w
Dozamecie, choć tak naprawdę, są
bogaczami.

3

Fabryka, choćby z powodu wielko-
ści, jest wielowymiarowa. Nawet zje-
dzenie beczki soli nie wystarcza w
pełnym rozpoznaniu wymiarów. Jest
wiele parametrów i wiele punktów wi-
dzenia. Punkty widzenia określają rze-
czywistość, lub tylko jej fragment. O-
pinia publiczna pamięta taki Dozamet,
który przynosił regionowi sławę: zwię-
ściwa w ogólnopolskich konkursach
dobrej roboty, nagrody w oszczędza-
niu paliw i energii, wdrażanie nowa-
torskich rozwiązań konstrukcyjnych i
technologicznych, ekspansję eksportu.

— To przeszłość, mówią.

— Pracujemy na coraz bardziej wy-
eksploatowanych maszynach, mówią
dziś młodzi inżynierowie. Park maszy-
nowy jest zdekapitalizowany. Wcis-
kami światu maszyny cięższe, mniej wy-
dajne, bardziej dogłębne w eksploa-
tacji, gorsze od tych, jakie wytwarza-
ją produkujące firmy.

Mający całokształt widzenia zakładu,
którym kieruje dyrektor, może zilus-
trować młodoinżynierską tezę. — Aby
utrzymać park maszynowy, na jego od-
nowę powinniśmy obecnie wydawać

opinie

i refleksje

Z Polski — w obronie pokoju

Znow z Polski rozległ się głos w obronie największej wartości ludzkiej go życia jaką jest utrzymanie i utrwalenie pokoju na ziemi. Tym razem był to głos Kongresu Intelktualistów jaki obradował w Warszawie w dniach 16-19 stycznia br., trzeci do już światowy Kongres Intelktualistów, jaki odbył się na polskiej ziemi. Pamiętam dobrze pierwszy z nich — Światowy Kongres Intelktualistów w Obronie Pokoju, jaki miał miejsce w sierpniu 1948 roku we Wrocławiu. Pracowałem wówczas na Dolnym Śląsku i mogłem z bliska przyrzyć się jego obradom.

Niezwykle były postacie wielu jego uczestników. Niezapomniane sylwetki Pablo Picasso, Ilii Erenburga, Fryderyka Joliot-Curie i jego żony Ireny, Tadeusza Kotarbińskiego, Leo na Schillera, Ksawerego Dunikowskiego i innych. Wszędzie obecna, zabiegana postać Jerzego Borejszy, duży organizacyjny Kongresu, a następnie śpiew Paula Robesona z trybuny Kongresu na zawsze zapewne pozostał w pamięci jego uczestników. Wrocławski Kongres był symbolem, tej Polski dźwigającej się z ruin najstraszliwej z wojen, że dla niej właśnie sprawa pokoju jest i pozostaje sprawą nadrzędną nad wszystkimi innymi wartościami.

Z usasadnioną więc satysfakcją odebraliśmy słowa sekretarza generalnego ONZ przekazywane przez jego osobistego przedstawiciela na obecnym Kongresie Intelktualistów w Warszawie — Jasushi Akashi: „Polska jest krajem, który bardzo ucierpiał w wyniku wojny i konfliktów. Podziwiamy postawę Polaków: ich wytrwałość, przetrwanie i odwagę; wartości, które pozwoliły im na zachowanie państwowości i kultury narodowej, mimo wszystkich zdarzeń w przeszłości. Polska ma uzasadnione prawo do udziału w sprawach międzynarodowych, które dotyczą pokoju. Mam nadzieję, że podobnie jak w przeszłości, będzie ona nadal odgrywać — przewodnią rolę w krzewieniu pokoju”.

To stwierdzenie o przewodniej roli w krzewieniu pokoju wynika niewątpliwie z wysokiej oceny wszystkich inicjatyw pokojowych, podejmowanych przez Polskę: „Plan Rapackiego” o ustanowieniu sfery bezatomowej w Europie Środkowej, „Plan Gomułki” o zamrożeniu a następnie redukcji zbrojeń czy wreszcie uchwaloną na wniosek naszego kraju rezolucję Zgromadzenia Ogólnego Narodów Zjednoczonych: „O wychowaniu społeczeństw w duchu pokoju”.

Warszawski Kongres Intelktualistów był pierwszą — a pod względem swej wagi moralno-politycznej — niezwykle doniosłą imprezą Międzynarodowego Roku Pokoju proklamowanego przez ONZ. W tym właśnie Roku — podkreślono na inaugurującym posiedzeniu Komitetu Obchodów Międzynarodowego Roku Pokoju w Polsce — należy uczynić wszystko, by na pytanie „czy, będzie-my ostatnim pokoleniem, które reprezentuje ciągłość życia na Ziemi”, postawione przez gen. Wojciecha Jazurkiewicza z trybuny jubileuszowej 40-sesji ONZ — nie padła nigdy odpowiedź twierdząca.

Impulsem dla tego rodzaju nadziei są wyniki spotkania genewskiego Gorbaczowa — Reagana, które — pod warunkiem istnienia dobrej woli — mogą z czasem doprowadzić do zasadniczego przełomu w stosunkach między narodowymi. Chodzi jednak o to, aby nie tylko czekać na rezultat porozumień dwóch supermocarstw lecz wno-sić swój własny wkład w tworzenie atmosfery sprzyjającej rozstrzygnięciu problemów nurtujących całą ludzkość. Takim właśnie działaniem była nasza inicjatywa zwołania w Warszawie Kongresu Intelktualistów w Obronie Pokojowej Przyszłości Świata.

Powiedział przewodniczący Światowej Rady Kościołów arcybiskup Paulos Gregorios: — o ile efektem wrocławskiego Kongresu Intelktualistów był Apel Sztokholmski o wyeliminowanie broni nuklearnej, który podpisało ponad 500 milionów osób, to dziś Warszawski Kongres uzmysłowił szczególną odpowiedzialność ludzi nauki i kultury za ograniczenie wy-sięgu zbrojeń na Ziemi i niedopuszczenie do jego przeniesienia w przestrzeń kosmiczną.

Ta zaszczytna misja nie mogła być podjęta w miejscu bardziej odpowiednie, niżeli właśnie Warszawa — najbardziej męczące z miast świata.

MICHAŁ HOROWICZ

Z REGIONU

Wiktor Kinecki I sekretarzem KW PZPR w Gorzowie

W Gorzowie odbyło się z udziałem członka Biura Politycznego, sekretarza KC PZPR Mariana Woźniaka, plenarne posiedzenie Komitetu Wojewódzkiego partii. Było ono poświęcone omówieniu założeń programowo-organizacyjnych związanych z przygotowaniem do X Zjazdu PZPR.

W części organizacyjnej — w związku z przejściem do pracy dyplomatycznej dotychczasowego I sekretarza KW Floriana Ratajczaka — plenum zwolniło go z pełnionej funkcji. W imieniu Biura Politycznego Marian Woźniak rekomendował na stanowisko I sekretarza KW PZPR Wiktora Kineckiego — zasłużonego i doświadczonego działacza partyjnego i państwowego, obecnie ambasadora PRL w Jugosławii. Plenum w tajnym głosowaniu wybrało Wiktora Kineckiego I sekretarzem Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Gorzowie.

Wiktor Kinecki urodził się w 1929 r. w Międzychodzie, podczas okupacji pracował w miejscowej drukarni, po wojnie — uczył się i pracował. Ukończył wyższe studia w dziedzinie nauk politycznych. W 1950 r. podjął pracę etatową w Związku Młodzieży Polskiej, pełniąc w nim wiele odpowiedzialnych funkcji. Był m.in. zastępcą kierownika Wydziału Harcerskiego i kierownika Wydziału Zagranicznego ZG ZMP. Od 1957 r. był sekretarzem Komisji Zagranicznej Ogólnopolskiego Komitetu Współpracy Organizacji Młodzieżowych, a od 1958 r. — przedstawicielem Polski w sekretariacie Światowej Federacji Młodzieży Demokratycznej w Budapeszcie.

W latach 1963-64 był zastępcą naczelnika a następnie naczelnikiem ZHP. Później pracował w Wydziale Zagranicznym KC PZPR a następnie był ambasadorem PRL w Republice Indii i Ceylonie, Królestwie Nepalu i Republice Singapur. Później pełnił funkcję I sekretarza KW PZPR w Świdnicy, nocem od 1978 reprezentuje Polskę w Belgradzie. Był zastępcą członka KC PZPR w latach 1964-80. Odznaczony Krzyżem Oficerskim OOP. Członek partii od 1953 r.

za odra

Wyższe emerytury

W grudniu ubr. rozpoczął się w NRD drugi etap realizacji uchwały KC NSPJ, Zarządu Centralnego Związków Zawodowych (FDGB) oraz Rady Ministrów z maja 1984 r. w sprawie podwyższenia emerytur. Przed rokiem podwyższono świadczenia socjalne ponad 2 mln osób. Obecnie podwyżkami objęto ponad milion ludzi. W sumie państwo będzie corocznie przeznaczać dodatkowo 1,2 mln marek na wypłaty rent i emerytur. Ostatnio wiele dyskusji wywołało zatrudnianie osób w wieku emerytalnym. NRD ze szczególnym nasileniem odczuwa deficyt siły roboczej w wielu gałęziach gospodarki narodowej. Urząd ds. pracy i placu Rady Okręgowej w Lipsku opracował w tej sprawie specjalny raport, z którego wynika m.in., że osoby w wieku emerytalnym nie mają raczej zastrzeżeń co do perspektywy kontynuowania aktywności zawodowej. Jedynie 5 proc. ankietowanych jest temu przeciwnych, zaś 53 proc. respondentów uważa, że po 65 roku życia można pracować pod warunkiem, że pozwala na to stan zdrowia. Pozostali opowiadają się za zatrudnieniem w niepełnym wymiarze godzin. Dla większości osób główną motywacją kontynuowania pracy zawodowej są „dobre warunki pracy oraz kontakty towarzyskie”, przy czym bodźce finansowe usuwają się na dalszy plan.

Autorzy opracowania oceniają, że głównym motywem przedłużenia aktywności zawodowej jest zadowolenie z dotychczasowej pracy. Właśnie w okręgu Lipsk, gdzie zatrudnionych jest ok. 25 proc. osób czynnych zawodowo w NRD, kontynuuje pracę największy odsetek emerytów (40 proc.). Jak się okazuje po nad 2/3 z nich pozostało na swym dawnym stanowisku, reszta zmieniła pracę w ramach tego samego przedsiębiorstwa. Coraz częściej notuje się w NRD przypadki powrotu do pracy po kilkuletniej przerwie. Według raportu, zdarza się to najczęściej po trzech, czterech latach, głównie wśród osób, które wcześniej zatrudnione były w szkolnictwie — w dziesięciolatkach i w szkołach wyższych.

(x)

Statystycznie - nie jest źle

Niedawno minister Jerzy Urban udowodnił, że mnie, statystycznemu Polakowi, w roku 1985 żyło się lepiej niż w 1984 r. W roku ubiegłym za swoje statystyczne pobory mogłem kupić więcej chleba niż przed dwoma laty. Minister też przekonał mnie, że jestem niedomyślny, bo powinienem wiedzieć o podwyżkach benzyny, zapalek i papierosów. Jestem statystycznym Polakiem i jak chyba każdy statystyczny Polak dziękuję za to ministrowi, czego nie może zrozumieć moja żona, która prowadzi bank domowy. Według jej wyliczeń w roku ubiegłym wydawał mi się więcej na mięso, gaz, energię, wczasy, piwo, fryzjera, magiel, szewca, stolarza, malarza, zeszyty, kosmetyki, podobno nawet mydło podróżne, bo w co nie wierzę, bo też nie chciało się pnieć. Jako statystyczny Polak muszę wierzyć ministrowi, nie żonie. Statystycznie to ja powinienem siedzieć za kratkami, bo statystycznie jest tam złodziejem, gwałciicielem, uchylam się od pracy Statystycznie jestem jakimś niszczycielem tapicerki w pociągach i autobusach, za dużo pałę. Jeśli tak, to statystycznie powinienem odpowiadać za swoje statystyczne czyny. A jak dotąd nie siedziałem i nie odpowiadałem, czego wszystkim Polakom życzę.

Mam przed sobą „Program działalności społeczno-wychowawczej na lata 1981-85 spółdzielczości mieszkaniowej” w województwie zielonogórskim, z którego wynika, że jako statystyczny spółdzielca powinienem siedzieć choć, no może nisko kłaniać się przede sobą, bo on dba o to, bym miał zaopieczoną pomoc w pełnieniu funkcji opiekuńczo-wychowawczych, korzystał z działalności kulturalno-wychowawczej, rozwijał się sportowo, rekreacyjnie i turystycznie oraz politycznie. Za jedyne 14 złotych miesięcznie, placone przeze mnie systematycznie. A jeśli mam jakieś pretensje do prezesa, to forę ze dworu, na moje miejsce czekają tysiące kandydatów do spółdzielni. Nie chcę, nie muszę chodzić do jednego z 3 spółdzielczych domów kultury, do 14 klubów osiedlowych, do 10 świetlic, do 30 pracowni specjalistycznych w wyodrębnionych pomieszczeniach, tj. do min. modelarni lotniczych, szkutniczych, kółkowych, pracowni tkackich artystycznych, plastycznej, fotograficznej, klubu radiomatorów, krótkofalowców, turystycznego, osiedlowego klubu seniora, Jacht-Klubu

oraz Osiedlowej Szkoły Piłkarskiej w Świebodzinie. Przestraszyłem się, bo wybrzydzam, nie znam zasług spółdzielczości mieszkaniowej w prowadzeniu działalności społeczno-wychowawczej. Nie wiem, że do mojej dyspozycji: oddano 34 boiska, 199 placów gier i zabaw, 4 korty tenisowe, 1 tor modelarski. Nie wiem, że „w Zarach Szczep Harcerski nr 4 oraz 19 Drużyna Harcerska im. Janka Krasickiego byli inicjatorami wielu imprez dla dzieci oraz współorganizatorami akcji letniej i prac społecznie użytecznych na osiedlach”. Albo: „Na terenie województwa spółdzielcze placówki wprowadziły jako stały element swej działalności organizację bazarów i giełd dziecięcych rzeczy używanych, książek, sprzętu turystycznego itp. Są to w Zielonej Górze — Dom Kultury „Nowita”, w Zarach — Osiedlowy Dom Kultury oraz Klub Osiedlowy w Zaganianiu”. Albo: „Zaktywizowała się działalność Klubów Seniora”. Albo: „Wspólnie z PKPS — Spółdzielnia Mieszkaniowa w Sulechowie uruchomiła w grudniu br. (1985 r.) Klub Seniora, gdzie prowadzone będą pełne wypoczynki i wszyscy chcą być tam, gdzie mogą znaleźć opiekę przez cały dzień”. Z informacji Wojewódzkiego Związku Spółdzielni Mieszkaniowych wynika, że na osiedlach działa 18 zespołów oświatowych, 13 plastycznych, 5 teatralnych, 11 muzycznych, 3 taneczne, 13 fotograficznych i 34 inne. A te zespoły zdobywają laury nie tylko w Polsce, lecz i w Finlandii, nawet posyłają swoje prace do Hiszpanii. Licznie organizowane są osiedlowe festyny sportowo-rekreacyjne, turnieje piłkarskie, biegi przełajowe, wyścigi kolarskie itp.” Tyle lat jestem spółdzielcą, a nie wiedziałem, co się dzieje z moimi 14 złotymi, wpłacanymi mi każdego miesiąca do kasy spółdzielczej. A to przecież złotych na statystów, którzy w pocie czoła mnożą sprawozdania. I skarżą się, że zarabiali za mało. Ja, gdybym miał z czego, każdemu dołożyłbym po tysiącu, jakie wtedy byłoby sprawozdanie, a jakie zes-poly, jakie laury. Sprawdził kto, czy zespół teatralny należy do ZHP czy spółdzielni albo szkoły podstawowej? Jak tak dalej będzie, to spółdzielnie mieszkaniowe zamieniają się w spółdzielnie zespołowe i nikt tego nie zauważy.

Czytam w informacjach WZSM przedstawionej Egzekutywie KW PZPR, że „W roku 1985 stan funduszu społeczno-wychowawczego wynosił 36 587 mln zł, co wystarczyło jedynie na potrzeby bieżące, czyli opłacanie sprawozdań kasy”. Dlatego WZSM w roku 1984 poprosił Urząd Wojewódzki o dotację z Funduszu Rozwoju Kultury, prośbę swoją ponowił w roku 1985.

WZSM skarży się, że nie dostał ani 6,1 mln zł, ani 12,1 mln zł, a które pro-sił pisemnie. A ja wiem, że spółdzielnie mieszkaniowe dostały pieniądze z FRK, z Wyższej Szkoły Pedagogicznej i chyba z „Nowity”. Dlaczego tego nie wie prezes WZSM, tego ja nie wiem. Ale ja wiem, że do spółdzielczych placówek kultury nie chodzą moi rówieśnicy (30-50-latkowie) i nikt ich tam nie zaprasza. Tak naprawdę robota kulturalna w osiedlach polega na zwabianiu dzieci i emerytów, i chwaleniu się sukcesami. Statystycznie wychodzi na to, że każdy powinien być zadowolony i jest lepiej, i będzie jeszcze lepiej, bo dzieci się rodzą, młodzi emeryci się pieni, tylko do pracy coraz mniej ludzi.

Placę 14 złotych miesięcznie i żądam. Żadna spółdzielnia nie robi nikomu łaski, że utrzymuje kluby, zatrudnia kaowców, bo przecież to jej nie statystycznie, lecz statutowo obowiązek. Jak utrzymywanie porządku w budynkach, koszenie trawników, karanie leniwych dozorców. Ze co? że spółdzielnia tego nie robi? Ludzie, ludzie, spółdzielnia są po to, by być. Od lat przyglądam się działalności spółdzielczych domów kultury i czasem wydaje mi się, że prezesi, dyrektorzy, tudzież nadzwyczajni spółdzielczych urzędników, słowem ci, których podobno mnie utrzymują, byłiby najszczęśliwsi, gdyby zwolniono ich z pobierania opłat na działalność społeczno-wychowawczą. A jeszcze byłiby szczęśliwsi, gdyby co jakiś czas nie musieli się tłumaczyć przed spółdzielcami, radnymi, egzekutywami i nie obchodziłoby ich to, że ulice brudne, domy oblaźe i tynków, drzewa uschnięte, na osiedlach ani księgarni, ani kin, gdzieś niedaleko przycupnięta biblioteka publiczna. Chciałby rzeźbiarz postawić jakiś pomnik, niech sobie stawia, ale za darmo. Dziwi mnie to, że nasze spółdzielnie stronią od artystów-plastyków, nie pamiętają o pracownikach dla grafików, malarzy, rzeźbiarzy.

Wyrasta Kisieleńska Dzielnica Mieszkańowa, czy też będzie taka, jak osiedla Słoneczne, Branioborskie, Piastowskie, Łużyckie? Czy też tylko domy i domy, potem długo nie a potem statystyczna sprawozdawczość, że ludzie nie chcą korzystać ze spółdzielczych dóbr kultury? I że jest tyle a tyle zespołów, które zdobyły tyle a tyle laurów? I że statystycznie nie jest źle, bo w centrum miasta są kina, teatry, orkiestry? Statystycznie to my się mielibymy w statystycznej krajowej. Bimbani sobie.

ALFRED SIATECKI

W trosce o „cukrzyków”

Śłużba zdrowia w Muehlhausen w NRD już dawno zauważyła, że wielu diabetyków ma słabe pojęcie o tym co im wolno jeść i czego powinni unikać. Pracownicy miejscowej przychodni zdrowia postanowili okazać pacjentom pomoc. W tym celu pod kierownictwem specjalistek — dietetyczek zorganizowano kurs dla pacjentów i członków ich rodzin, na którym uczono w jaki sposób przyrządzać potrawy i pieczywo dla „cukrzyków”. Program kursu obejmuje jedno zajęcie teoretyczne, na którym mowa o zasadach diety dla tego rodzaju chorych. Pozostałe trzy zajęcia przeznaczone są na zajęcia praktyczne — lekcje gotowania i pieczenia. Uczestnicy kursu z dużym zainteresowaniem brali udział w zajęciach i degustowali sporządzone wspólnie wyroby. Smakowały nie tylko pacjentom lecz również ich opiekunom.

Obecnie przygotowuje się do druku broszurę, w której wykorzystano doświadczenia uzyskane w Muehlhausen.

(Alfa)

Wykopiska archeologiczne

Znaleziska z trzech odległych od siebie epok wykopano w Dobberzin (okręg Angermünde). W głębi piaszczystego pagórka okolonego ongi wodą archeolodzy znaleźli pochodzące ze średniego paleolitu noże, ryce i rozmaite inne przedmioty wykonane z krzemienia. W innej warstwie odnaleziono narzędzie z okresu kamienia glazjowanego. Opodal natomiast zachowały się resztki słowiańskich chat pochodzących z dziewiętego, dziesiątego i jedenastego wieku. Archeolodzy zwrócili szczególną uwagę na charakterystyczne wrzeciono.

(Alfa)

za łabą

Mieszkańcy Oradour sami sobie winni

Opinia francuska zbulwersowana została z powodu publikowania w Republice Federalnej Niemiec — „Słow-

nika historii niemieckiej” wydanego przez dom wydawniczy Kroener, gdzie pod hasłem „Oradour” sfalszowane zostały historyczne fakty zagłady tej francuskiej miejscowości. Jak wiadomo po-połniono tam w dniu 10 czerwca 1944 jedną z najbardziej znanych zbrodni wojennych. Na rozkaz pułkownika Dicka marza, oddział SS wymordowały bestialsko 642 osoby, w tym 405 kobiet i dzieci. Większość ofiar spłonęła żywcem w podpalonym przez Niemców miejscowym kościele. Kilka lat temu ukazała się w RFN książka byłego oficera propagandowego oddziału SS Herberta Taega, pod tytułem — „Gdzie jest Kain”. Wśród wielu usprawiedliwień dla „bohaterów i dzielnych żołnierzy z Waffen — SS” autor również sugerował w osobnym rozdziale, że nieszczęście, jakie spotkało pomordowanych w Oradour sami byli oni winni, gdyż rzekomo po-siadał broń i amunicję ostrzeliwali niemieckich żołnierzy. Mało tego. Taeg twierdzi, że kościół, gdzie zginęła większość kobiet i dzieci, wysadzili w powietrze sami Francuzi. Wreszcie dla uratowania „honoru prawdziwych żołnierzy” z osławionej dywizji SS „Das Reich”, twierdzi on wbrew znanym dokumentom wojskowym, że rozkaz pacyfikacji wydany został przez dowództwo Wehrmachtu, a nie SS. Oburzenie opinii francuskiej wynika jednak nie tylko z faktu wydania tej książki — gdyż takich „dział” gloryfikujących SS-owców ukazało się w RFN wiele — lecz przede wszystkim dlatego, że kłamstwa zawarte w książce Taega niektórzy historycy przyjęli jako źródłowe fakty, mimo opublikowania zeznań złożonych przez ówczesnego dowódcę kompanii H. Kahna i uczestnika masakry H. Bartha. Ci byli członkowie zbrodniczego oddziału, już w 1982 a ostatnio w ub. roku, złożyli obzerne zeznania i autorytatywnie potwierdzili otrzymanie rozkazu pacyfikacji Oradour-sur-Glanne, spalania wioski i zabicia wszystkich mieszkańców. Przeznaczone przez Taega fakty znalazły się jednak w podręcznikach historii między innymi w „Słowniku historii niemieckiej”.

(Tema)

Rycerze spod ciemnej gwiazdy

Jednym z najwyższych odznaczeń bojowych w Trzeciej Rzeszy był tak zwany „Krzyż Rycerski do Krzyża Żelaznego”. Niedawno ukazała się książka pamięci SS-owców odznaczonych tym właśnie orderem. Ernst-Guenter Kratschmer opublikował dzieło pod tytułem „Odznaczeni Krzyżem Rycerskim w Waffen-SS”.

Autor, jak stwierdza krytyka zachodniemiecka, starał się ukazać wysokie

osiągnięcia najdzielniejszych spośród żołnierzy SS a tym samym zaprezentować osiągnięcia i historię całej Waffen-SS. Dzieło liczy przeszło tysiąc stron, zawiera liczne ilustracje, fotokopie dokumentów, obszerny indeks nazwisk.

W osiągnięciach najdzielniejszych ujawnia się — czytamy w recenzji — duch całej jednostki, w pojedynczych działaniach bojowych ludzi przejawia się przebieg bohaterstwa walk całych formacji. Jest to księga honorowa najdzielniejszych, o ogromnym historycznym i wojskowym znaczeniu. Pozwala lepiej poznać dzieje dywizji uchodzących w skład Waffen-SS”.

No cóż! Gdyby tymi sprawami frapowali się tylko starsi panowie, których kiedyś udekorowano tymi odznaczeniami, byłoby pół biedy. Gorzej, że trucidano zawiata w tych pochwałnych słowach songach rozlewa się szeroko, docierając, niestety, również do młodzieży RFN.

(Alfa)

Wypredaż koncernu

Pisaliśmy już na tym miejscu o wielkim skandalu politycznym, który za sprawą koncernu Flicka wybuchł w Republice Federalnej Niemiec. Chodziło mianowicie o to, iż wspomniany koncern finansował partię polityczną RFN w zamian za ulgi podatkowe, otrzymywanie zamówień rządowych i uzyskiwanie wpływu na decyzje państwowe. W związku z ujawnieniem tych faktów, musieli się podać do dymisji przewodniczący Bundestagu Rainer Barzel (CDU) i inni.

Najbogatszy człowiek Republiki Federalnej Niemiec a prawdopodobnie i całej Zachodniej Europy — 58-letni Friedrich Karl Flick przekształcił obecnie swój koncern w towarzystwo akcyjne a następnie — po dokonaniu tego manewru — wystąpił z propozycją sprzedaży swoich przedsiębiorstw. Ofertę taką złożył największemu bankowi niemieckiemu „Deutsche Bank”. Bank ten oficjalnie potwierdził ten fakt i zapowiedział, że jeszcze w tym roku przystąpi do sprzedaży akcji koncernu.

Warto podkreślić, że syndykat Flicka był dotychczas największym trzustem przemysłowym znajdującym się w posiadaniu jednej rodziny. Wg ostrożnych szacunków, jego wartość giełdowa wynosi 4,5 miliarda marek, zatrudnia przeszło 40 tys. pracowników a w roku 1985 uzyskał ponad 10 miliardów marek obrotu. Afera z tym koncernem wstrząsnęła opinią publiczną RFN, wskazując na odcienie korupcji wielu wysokich osobistości bońskiej sceny politycznej.

(h)

„Ślubuję uroczystie jako poseł na Sejm Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej: pracować dla dobra narodu polskiego i pogłębiać jego jedność, przyczyniać się do umacniania więzi władzy państwowej z ludem pracującym miast i wsi, czynić wszystko dla utrwalenia niepodległości i suwerenności, dla pomysłnego, socjalistycznego rozwoju Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej.”

— Matuszewski Stanisław...
— Ślubuję!

— ☆ —

Cisza, jaka w tym momencie zaległa pokój pełen ludzi wpatrzonych w telewizor, przerwała krótkie chlipnięcie. Wszystkie oczy oderwały się teraz od ekranu i zwróciły w stronę fotela. Siedząca w nim kobieta szybkim ruchem ręki zakryła twarz.

— Dlaczego płaczesz babciu? — zapytał siedzący obok niej chłopczyk o piovwej czuprynie i delikatnie położył małą dłoń na jej kolanie.

— Wujek Staszek był w telewizji! Widać babciu? Widziałas?

Pokiwała potakująco głową, a po chwili — jakby wyrwana nagle z krótkiej drzemki — ocknęła się, odsłoniła twarz i przysuwając fotel bliżej stołu, odezwała się zmieszana:

— Ależ ze mnie gospodyni! Proszę, częstujcie się! Herbata pewnie już wystygła. Zapomniałam o wszystkim... Musicie mi wybaczyć, że się rozkleiłam.

Teraz, za jej przykładem, wszyscy przysunęli swoje siedziska do stołu, który dziś — mimo, że jest to zwykły, powszedni dzień — został nakryty białym obrusem i zastawiony talerzami z pachnącym, domowym ciastem.

Bo 6 listopada 1985 roku, dla Heleny i Antoniego Matuszewskich jest dniem niezwykłym, jakiego nie mogli przewidzieć w najsmielszych nawet marzeniach. Właśnie przed chwilą ich Stasio, ich pierworodny złożył poselskie ślubowanie na pierwszej, inauguracyjnej sesji Sejmu PRL IX kadencji. Właśnie przed chwilą widzieli i słyszeli, jak wstał z miejsca i donośnym głosem powiedział: „Ślubuję!”

Stąd to ciasto, stąd biały obrus, stąd goście: dwaj inni synowie, córka, wnuczki, zaprzyjaźnieni sąsiedzi. Stąd wreszcie nie pani Heleny i niespotykane, długie milczenie pana Antoniego, który tak w ogóle należy do ludzi bardzo rozmownych.

— ☆ —

Posel Stanisław Matuszewski (...) ma 39 lat, żonaty, dwoje dzieci, z wykształcenia — technik, mechanizator rolnictwa, gospodarujący we własnym, 22 hektarowym gospodarstwie w Gudzie (gmina Boleszkowice), specjalizujący się w tuczu trzody chlewnej (...) Oprócz tego, działacz społeczny: przewodniczący Komitetu Rodzicielskiego w miejscowej szkole, radny GRN, przewodniczący komisji kredytowo-oszczędnościowej w Banku Spółdzielczym w Dębnie, członek Rady Nadzorczej GS „Samopomoc Chłopska”, prezes Kola Rolników w Gudzie, prezes kola ZSL i wiceprezes GK ZSL, członek WK ZSL, członek PRON, kierownik w miejscowej Ochotniczej Straży Pożarnej — tak przedstawiała go „Ziemia Gorzowska” w prezentacjach: „Nasi kandydaci”.

A sąsiedzi mówią o nim: „Chłopak do wszystkiego. Wzorowy rolnik, społecznik, wspaniały sąsiad, a przede wszystkim — prawy obywatel i uczciwy, do bry człowiek”.

Zona, Krystyna, z którą wspólnie pracują w gospodarstwie, też przyznaje obiektywnie: „dobry mąż, troskliwy ojciec, pracowity, konsekwentny, zaradny. Uparty w dążeniu do wyznaczonego przez siebie celu...”

Wszystkie te opinie potwierdzają też ciowie Stanisława Matuszewskiego i do dają: „Lepszy zięć nie mógł nam się trafić. Przekazaliśmy w jego ręce gospodarstwo, dorobek naszego życia bez obaw, że je zmarnuje, roztrwoni. I nie za wiedzieliśmy się — powiększył je, zmechanizował, uowocześnił. Aż miło patrzeć! Jednego tylko nie przewidzieliśmy — że zostaniemy teściami posła. A zostaliśmy i jest to nasz kolejny powód do dumy.”

Na podwórku dwóch mężczyzn w przemokniętych, szarych uniformach i uboconych gumiakach uwiija się wokół góry ziemniaków. Jeden przytrzymuje worki, drugi ładuje do nich dorodne bulwy. Nie dostrzegają, że ktoś obcy wszedł na podwórze. Dopiero po chwili jeden z nich odwraca się. To on — poseł Stanisław Matuszewski.

— Dzień dobry, proszę wejść do domu! Dziękuję, że się nie witałam, ale... ręce! Zaraz skończę. Krysiu, pozwól mamie gości.

Pani Krystyna wylania się z czeluści kurnika. Stawia wiadro z ziarnem, ociera ręce w gospodarski fartuch. W ganku zdejmując skafander i mokre kalosze. Mija moment i uśmiechnięta wraca z łazienki, gotowa pełnić honory pani domu. Zanim mąż zdąży ogarnąć się po powrocie z podwórka, stawia na stole gorącą herbatę, kawę i smakowite „resztki” niedzielnych wypieków.

— Mimo deszczu i tego zimna — o powiada, chcąc jakby usprawiedliwić chwilową nieobecność gospodarza — musimy załadować ziemniaki w worki i na przyczepę, żeby mąż mógł je jeszcze jutro rano odstawić do GS. Wieczorem wyjeżdża do Warszawy na pierwsze posiedzenie Sejmu i nie wiem, kiedy wróci. Dobrze więc, jeśli przed wyjazdem odwiedzie te ziemniaki.

Na zarzut, że zaganiając męża do ciężkiej pracy, podczas której narazony jest (odpukać!) na niebezpieczeństwa utraty zdrowia lub uszkodzenie ciała czy ni teraz zamach na jego nieetykalność poselską, pani Krystyna śmieje się:

— No, niestety, ja mu nie mogę zagwarantować przywilejów wynikających z immunitetu poselskiego. Ani też, jako najbliższy współpracownik, „przełożony” nie mogę mu, zgodnie z nową ordyna-

szcerbku dla tego najważniejszego. Ja nie mam takich obaw, myślę, że poradzę sobie. Przecież do tej pory też pracowałem społecznie.

— Tak, ale teraz nie wiem, czy podłasz. Będziesz chyba musiał zrezygnować z niektórych pełnionych dotychczas funkcji.

— Jakże to tak: zrezygnować? — pan Stanisław burza się — a cóż to byłoby ze mnie za posła, który nie ma pojęcia, co się wokół niego dzieje? Każesz mi fruwać nad ziemią? Przecież ja tu żyję, wśród ludzi, którzy obdarzili mnie zaufaniem. Po czterech latach, gdy skończy się kadencja, nadal będę mieszkał wśród nich i może nadal będę im potrzebny. Nie sądzisz chyba, że kiedyś sken czy się moje posłowanie, usiądę pod piecem z założonymi rękami i będę pykał fajeczkę. Tyle wciąż jeszcze jest na wsi do zrobienia...

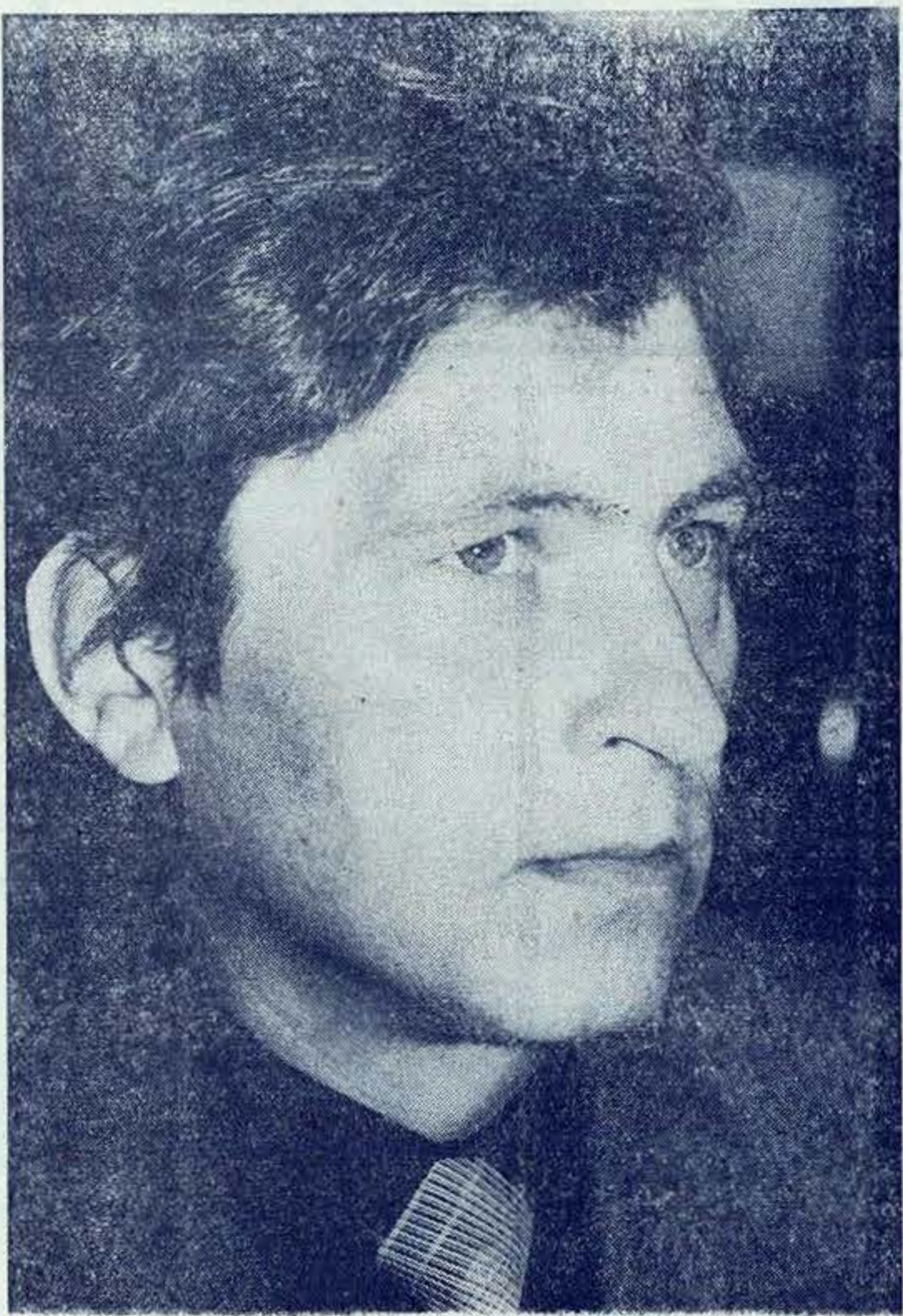
pierworodny

Magdalena Tomczak

cją wyborczą, udzielić urlopu na czas trwania kadencji. Nawet, gdybym chciała. Posel-rolnik z tego przywileju skorzystać nie może, bo ani ziemia, ani żywy inwentarz, nie zgodzą się na taki urlop.

Co mogę? Mogę schować na te cztery lata w ciemny zakątek kredensu wałek do ciasta, odwieczny atrybut żony, a podobno i współczesny, skuteczny stimulator małżeńskiego szczęścia. Chociaż... jeśli mój mąż-poseł nabroi, to nie wiem, czy nie targnę się na jego niety-

(...) za najważniejsze i nie cierpiące zwłoki w załatwieniu, spośród wszystkich dzisiejszych bólów środowiska wiejskiego, trzy uważam za główne: szkolnictwo na wsi — baza, kadry, poziom nauczania; wiejska służba zdrowia — szczególnie profilaktyka i opieka zdrowotna nad dziećmi (nie wolno nam dalej spokojnie patrzeć, jak społeczeństwo słabnie, staje się mniej odporne na choroby, dojrzewa z wieloma wadami fizycznymi); inwestowanie w rolnictwo — w szerokim tego słowa zna-



POSEL STANISŁAW MATUSZEWSKI: — Żywność to obecnie najtwardsza waluta...

Fot.: KAZIMIERZ LIGOCKI

kalność. Jak do tej pory, nie było jeszcze takiej potrzeby, ale nigdy nie nie wiadomo... Jakby co, przywołam go do porządku w razie potrzeby, nie bacząc na żadne immunitety!

Pan Stanisław w progu słyszy te wywody żony. Kiwa głową i śmieje się:

— A wiesz, ile ty za to możesz dostać? Ho, ho! Radzę ci z wczasu zrezygnować z takich pokus...

Dalsza pogawędka przebiega w równie wesołym nastroju. Gdy jednak rozmowa schodzi na temat nowych obowiązków, jakie spadną na pana Stanisława w związku z jego poselskim mandatem, pani Krystyna poważnieje.

— Nie powiem, że się nie martwię, czy damy sobie radę — wyznaje. O dom i obelcie jestem spokojna, w razie czego mogę liczyć na pomoc moich rodziców. Ale martwię się o ziemię: 22 hektary ściśle terminy agrotechniczne, prace których nie można odłożyć na później.

— Wiesz przecież, że gospodarstwo, ziemia to mój pierwszy obowiązek — uspokaja żonę pan Stanisław — a wszystkie inne, jakie na siebie przyjąłem, muszę wykonywać równolegle, bez u-

W owym wywiadzie był też i taki fragment:

— Czy chciałby pan zostać posłem?

— Teraz już tak...

— Co znaczy — teraz?

— (...) kiedy znalazłem się na liście wśród trzydziestu kandydatów, nie bardzo wierzyłem, że zdolam „pokonać” moich konkurentów w przedwyborczej walce. Teraz, gdy moje nazwisko figuruje wśród dziewięciu, gdy jakiś tam Matuszewski, rolnik z nadgranicznej, małej wioski Gudzie, a tak w ogóle — wiejski chłopaczyna z ubogiej, wielodzietnej rodziny przeszedł przez gęste sito konkurencji, uwierzyłem, że mam szansę, że widocznie komuś mogą się przydać i moją doświadczenia rolnicze, i moja znajomość problemów dotyczących życia współczesnej, polskiej wsi. Dlatego, teraz — chciałbym... Ale wszystko rozstrzygnie się 13 października”.

skich na temat metod wychowawczych stosowanych kiedyś wobec dzieci. Wszyscy domownicy znają na pamięć przebieg tych sporów. Wszyscy pamiętają też, jak to było naprawdę: kochany, do bry, choć zawsze surowy w sytuacji, gdy którejś przekrobało coś poważnego, ojciec i kochana, najczulsza mama, która już po „burzy” zawsze znalazła jakiś ci chy kącik, gdzie mogła przytulić i pocieszyć winowajcę...

Teraz pani Helena znalazła wśród ich nych fotografii, której szukała. Położyła ją przed mężem i oboje uśmiechnęli się do siebie.

Na małym, postrzępionym obrazku — wykonanym przez amatora jakimś, wi dać, mocno zdezelowanym aparatem — piękna młoda para. Panna w białej, marszczącej sukience, w welonie, z bukietem polnych kwiatów w dłoniach, ka-

Pochylony nad gazetą ze swoim wywiadem Stanisław Matuszewski — poseł, uśmiecha się:

— Trzynastka w dacie okazała się dla mnie szczęśliwa, mimo że figurowałem na drugim miejscu na liście wyborczej. Jutro jadę do Warszawy. Ciekaw jestem, jak ja, wiejski chłopak będę czuł się wśród tylu wybitnych osobistości. Ale wierzę że mój głos zwykłego, szarego rolnika bez tytułów naukowych, za to z porządnie spracowanymi rękami, przyda się od czasu do czasu naukowcom, ministrom, wszystkim tym, którzy wraz ze mną będą przez najbliższe cztery lata decydować o losach naszego rolnictwa. I myślę, że „wielcy” wysłuchają z uwagą nieraz mojej rady... Oj, zagalopowałem się chyba, ale proszę mnie nie posadzać o zarozumiałość, broń Boże! To tylko przekonanie, że najlepsze efekty osiąga się wtedy, gdy wiedza i nauka idą ramię w ramię z doświadczeniem, każe mi w ten sposób formułować myśli.

— ☆ —

Transmisja z pierwszego posiedzenia Sejmu IX kadencji dawno już się skończyła. Dzieci oglądają bajkę na dobranoc, a dorośli nadal siedzą przy stole nakrytym białym obrusem. Tyle, że miejsce szklanek i talerzy z ciastem zajęły teraz na nim jakieś dokumenty, dyplomy, fotografie. Rodzinny album z pozazłaski okładką i kartkami, z których czas dawno już podklejał większość zdjęć, znalazł się w samym środku tego archiwum.

— O, popatrz Helenko, znalazłem wreszcie to zdjęcie — wykrzykuje nagle pan Antoni i dla pewności przysuwa mały, pożółkły kartonik bliżej lampy. Tak, to nasz Stasio, o tutaj! Zobacz, jaki naburmuszony. A pamiętasz, dlaczego?

— To było chyba po tym podwójnym laniu. Na pewno wtedy, kiedy przyszedł na niego na skargę ten człowiek z autobusu...

— No, nabroili wtedy porządnie, łobuzy jedne, ale też i oberwali, jak się patrzy!

Utkwiwszy nieruchomo wzrok w fotografię syna, z pobliżliwym już teraz uśmiechem na twarzy pan Antoni opowiada, jak to kiedyś Stasio poszedł z kolegami na przechadzkę wzdłuż szosy. Na zakręcie, za wsią usiedli w rowie, baraskowali. Nagle, jeden z nich ni z tego, ni z owego chwycił kamień i rzucił w nadjeżdżający autobus, prosto w szybę, na szczęście tę obok kierowcy. Szkło posypało się na jezdnię, rozległ się pisk hamulców. Chłopaczyska w nogi! Rozpierzchli się po polu i pocho wali, gdzie który zdążył. Ale kierowca i mężczyźni z autobusu pobiegli za nimi. Powyciągali ich z krzaków, stogów siana i każdemu spuścili solidne manto.

— Naszego Stasia złapał taki potężny chłop z wąsami — kontynuuje opowieść pan Antoni — i porządnie mu wtrząpał. Potem wziął za rękę i kazał za prowadzić do rodziców. Pamiętam, jak weszli obaj na podwórze: mężczyzna czerwony ze złości, a Stasio zarczany jak nieszczęście. Nie wiedziałem, o co chodzi, ale idąc im naprzeciw wziąłem na wszelki wypadek solidną różę w rękę. Najpierw mu dołożyłem, a potem wysłuchałem, co zbroił. No i okazało się, że nie dostał za darmo...

— Ale to nie on rzucił tym kamieniem — protestuje pani Helena — a ty mu wtedy tak wtrząpałeś.

— Był razem z tamtym, to wystarczy! A dostał, żeby mu samemu nigdy podobny „zart” nie strzelił do głowy. Na wszelki wypadek! I jak widzisz, nie za szkodliło mu to wcale. Wyrósł na porządnego człowieka.

Opowiadanie pana Antoniego dało po czątek przekomarzankom Matuszew-

waler — w ciemnym garniturze, którego rozmiar zdradził natychmiast tymczasowość posiadania go przez widocznego na fotografii eleganta.

Po chwili milczenia, przy stole z białym obrusem rozpoczęła się kolejna opowieść.

Helena i Antoni Matuszewscy poznali się podczas wojny w Niemczech, gdzie On — przebywał jako więzień oflagu, a Ona — wywieziona na roboty, pracowała razem z innymi Polakami u bauera. Poznali się, pomagali sobie nawzajem, pokochali i postanowili pobrać natychmiast, gdy tylko skończy się ta przekłata wojna. Zwierzyli się ze swoich planów przyjaciółom i towarzyszący niedoli.

9 maja 1945 roku ogłoszony został koniec wojennego koszmaru, a zdjęcie młodej, szczęśliwej pary wykonane było nazajutrz — 10 maja. Wszyscy przyjaciele i znajomi uznali, że skoro młodzi chcieli się pobrać zaraz po wojnie, to nie mogą czekać dłużej niż 24 godziny od jej zakończenia. Znalazł się polski ksiądz, znalazły się suknie i welon, koledzy wytrzasnęli skądś dla młodego żonkisia całkiem elegancki „Anzug”. Nie mogło zabraknąć i nie zabrakło fotografa, a na weselne przyjęcie zaradni koledzy wtoczyli ogromną beczkę piwa.

W kilka dni później młodzi Matuszewscy wyruszyli do Polski: tak jak stali, z gołymi rękami, boso, w roboczych łachmanach, bez kromki chleba na drogę. Pieszko doszli z Łipska do Leszna. Za trzymali się u rodziców pana Antoniego i tam przetrwali kilka najtrudniejszych miesięcy. Nie mieli nic. Gdziekolwiek by się udali, wszędzie musieli zaczynać od początku. Zdecydowali więc wyjechać i osiedlić się na Dolnym Śląsku. Pierwszą ich oazą była wieś Pietrzyków koło Jawora — tam 14 października 1946 roku urodził się Stasio, ich pierwszy syn.

— Nie było nam łatwo — wspomina pan Antoni. — Wiadomo, po wojnie, bieda dookoła. Ale ludzie byli dla siebie dobrzy, życzliwi, pomagali sobie, jak mogli. Oboje z żoną pracowaliśmy, a potem, kiedy przyszły na świat następne dzieci, wzięliśmy jeszcze dodatkowo w dzierżawę kawałek ziemi.

— Wychowaliśmy sześciu synów i córkę — dodaje pani Helena. — Wszystkie nasze dzieci wyuczyły się, każde zdobyło zawód. Nie daliśmy im spadku, ani majątku, bo nie stać nas było na to, ale każdemu pomogliśmy się usamodzielniać, stanąć na nogach o własnych siłach. Nauczaliśmy ich pracy i szacunku dla niej, i moję dlatego za żadne z nich nie musimy się dzisiaj wstydić. A wręcz przeciwnie: z każdego z osobna i ze wszystkich razem jesteśmy bardzo dumni. No, a nasz Stasio... głos pani Heleny zala muje się.

— Nasz Stasio — kończy za żonę pan Antoni.

— ☆ —

Małec z płową czupryną powoli, na paluszkach podchodzi do fotela, powoli nie kładzie małą rączkę na babcinym kolanie...

— Ty znówu płaczesz? Babciu, dlaczego?

— ...

— Dziadku! I ty też? Ale się narobiło...

w jego specjalności. Minister finansów nie ma na taką regulację placową pieniędzy. Twierdzi, że wygórowane jest powinna sama fabryka. Zaś w fabryce istnieją układy sil, doraźne priorytety, wiążące ręce racjonalnie myślącym dyrektorem. Następuje paraliż woli. Specjaliści o kwalifikacjach najwyższych, dokonując rachunków sumienia, uznając swoją wiedzę i umiejętności za błąd i wypaczenie, rozglądają się za lukratywną chałturę. Kombinują jak założyć zakład cykliniarski, jak wybieć się na malarza pokojowego.

5

Fabryka jest twierdzą klasy robotniczej. Łatwo — jak wykazało doświadczenie roku 1980, do tej twierdzy obcy wejść. Trudniej — jak wykazało doświadczenie późniejsze, się w tej twierdzy utrzymać na stałe.

W Dozamecie na palcach policzyć można tych, którzy są robotnikami w trzecim pokoleniu. Obyrzniawia większość robotników, a również wielu inżynierów, posiadających chłopski rodowód. Ponieważ praca w tym zakładzie produkcyjnym jest bardzo niewdzięczna i wyczerpująca, jak w hutnictwie, nie można liczyć na to, co było typowe w latach sześćdziesiątych, że kontynuatorem profesji ojca będzie syn. Słynne nowosolskie technikum odlewnicze z powodu braku uczniów, przekształciło się w zespół szkół budowlanych i mechanicznych.

Mimo że obecna załoga robotnicza Dozamet posiada w swoich szeregach wielu ludzi z wykształceniem średnim technicznym i samą sobą reprezentuje wysoki poziom zawodowy, przypisywanie jej umiejętności myślenia kategoriami interesu klasowego w ocenie faktów i zdarzeń — cech wielkoprzemysłowej klasy robotniczej, ma na dziś charakter życzeniowy.

Klasa robotnicza również może — chwilowo — błędnie, ulegać demagogicznemu hasłom. Jej wola można — chwilowo — manipulować. To prawda. Wiek dwudziesty należy do klasy robotniczej. Bez aprobaty klasy robotniczej, w Polsce nie można dokonać w sensie politycznym, niczego. Jest to więc klasa w Polsce panująca.

6

Informacja: po Sierpniu 80, w Dolnośląskich Zakładach Metalurgicznych powstało ogniwo NSZZ „Solidarność”. Organizatorzy tego związku, ignorując strukturę zielonogórską, włączyli się w organizację wrocławską. Groźba strajku zmusiła Władysława Młakiszę — współtwórcę wszystkich wielkich wyróżnień Dozamet, do rezygnacji ze stanowiska dyrektora naczelnego. Młakisz, człowiek dużego formatu, został z Dozamet wykopany. Zaczęło robić przyimarki do wywiedzenia z fabryki Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Dalszemu przeformowywaniu fabryki a może równie kompletnemu jej demontażowi, przeszkodził stan wojenny. Dwóch ekstremistów z komisji zakładowej zostało internowanych, 18 innych, po rozmowach usławiadających, poszło na chwilowy, nadzwyczajny urlop. Wkrótce potem internowani i urlopowiczowie powrócili do pracy.

7

Arena, na której obecnie rozgrywa się nasz polski los, są zakłady pracy, gospodarka. Z wielkiego wstrząsu Sierpnia 80 w zakładach pracy dokonały się przekształcenia modelowe. Powstały nowe związki zawodowe, których zasadniczym zadaniem jest bronić podstawowych interesów ludzi pracy.

W Dozamecie proces ich powstawania był bolesny. Było aktem cywilnej odwagi przystąpienie do nowego związku. Naraziło na towarzyski ostracyzm, na izolację wśród współpracowników. Wielu się zapisywało, prosząc o niepotracenie składek z listy plac. Obecnie konspiracja jest niepotrzebna. Do związku należy 30 procent załogi.

W wyniku starań dyrekcji Dozamet powołano komisję, która miała przeprowadzić wybory do samorządu. Przygotowania do wyborów rady pracowniczej trwały około 11 miesięcy. Były wyjątkowo słaboznaczne. Gdy się wydawało, że zorganizowanie samorządu pracowniczego jest zajęciem bezradnym, wybory zostały przeprowadzone sprawnie, w ciągu jednego miesiąca. Zbiegło się to z instrukcją podziemia o wchodzeniu działaczy „Solidarności” do struktur samorządowych w fabrykach.

Samorząd pracowniczy, zgodnie z ustawą, ma rozległe prerogatywy. Współdecyduje o strategii rozwoju przedsiębiorstwa, o bieżącym funkcjonowaniu fabryki, o obsadzie personalnej kierowniczych stanowisk.

W wielu fabrykach, przekształconych w arenę, trwały skomplikowane walki o prerogatywy, o odpowiedź — kto do czego ma prawo? Walczą dyrekcje, związki zawodowe, samorządy, podstawa organizacje partyjne, komitety zakładowe. W tych zmaganiach, które traktować można jako zjawisko na dziś naturalne, jako docieranie się, precyzowanie kompetencji, pezetperowcom przypadła rola dość niewdzięczna — jako współuczestnika walki a jednocześnie rozjemcy.

Od zbiorowej mądrości organizacji partyjnych zależy wiele. Również obrona socjalistycznego charakteru przedsiębiorstwa przemysłowego, aby spr-

wiedliwość społeczna, poprawność stosunków międzyludzkich, nie zostały poświęcone molochowi zysku.

Być czystym i mądrym nie jest łatwe. Jak realizować imperatyw oszczędzania, jeśli nie ma blachy o grubości 15 milimetrów a jest blacha o grubości 18 milimetrów, zaś wykonanie planu jest pod znakiem zapytania? Co zrobić, gdy termin zagranicznej dostawy stuka do drzwi a do wykonania maszyny brak jest specjalnej blachy o określonych parametrach? Bierze się blachę, jaka jest i przygotowuje ekipę, która za pół roku pojedzie do Białegostawu wymienić ten element maszyny.

Jak w tej sytuacji brzmią słowa sekretarza komitetu zakładowego, przypominającego imperatyw oszczędzania?

8

Załoga wybrała 120 delegatów, spośród których miało wybrać 36 osobową radę pracowniczą. Skład rady od początku budził wątpliwości, jako niezadowolający poglądów i interesów załogi.

Cicha agitacja wyborcza odbywała się pod hasłem cięć czerwonych i nowych związków. Jacek Zych, sekretarz Podstawowej Organizacji Partyjnej w Biurze Konstrukcyjnym, znany z tego, że jak lew walczył o materialne interesy ludzi z tego biura, przegrał wybory na rzecz młodego konstruktora, który nieczym szczególnym w pracy się nie wyróżnił. Ryszard Piętaś z Centralnej Narzędziowni, znakomity fachowiec, 35 lat stażu pracy, znany z tego, że nawet w sytuacjach trudnych nie owijał prawdy w bawełnę, członek PZPR, otrzymał w wybo-

z tekstami w trakcie składania projektu statutu w Sądzie Rejonowym w Zielonej Górze. Biorąc pod uwagę, iż upoważnionym do zmian tekstu statutu jest jedynie organ, który go uchwalił, zwrócono uwagę ob. Januszowi Żralce na nieostrożność tego typu postępowania. Jednocześnie w piśmie dyrektora poinformowano Radę o powstałych nieprawidłowościach oraz stwierdzono, iż statuta to w wątpliwość, czy osoby odpowiedzialne za powstałą sytuację przy rejestracji statutu, w sposób uczciwy i odpowiedzialny będą traktowały interes załogi i przedsiębiorstwa oraz kształtowały socjalistyczne zasady stosunków międzyludzkich wśród pracowników przedsiębiorstwa. Uwagi te ob. J. Żralco, jak również Rada Pracownicza uznali, iż został on poniżony w oczach załogi i że „odebrano mu zaufanie niezbędne do wykonywania pracy społecznej”.

Rada Pracownicza zarzuca dyrektorowi Dozamet, że „przekroczył swoje uprawnienia w zakresie współpracy z samorządem załogi i że działał upórząco wie na szkodę organów tego samorządu oraz ich członków”.

Tyle dyrektorskiej informacji. W maju 1983 r. w innej uchwale Rada Pracownicza poszerzyła skalę za rzutów wobec dyr. Edwarda Międzybrodzkiego: jego intencją jest sparaliżować nie działalność samorządu. Odrzucono zarzut o manipulowanie projektami statutu, stwierdzając, że to on — dyrektor — jest manipulatorem.

Będą rozprawy sądowe. Nie będzie jednak rozprawy wokół liczby istniejących statutów, ponieważ nie przeprowadzono odpowiednich dochodzeń. Ba! nawet statut zatwierdzony przez

nym posiedzeniu Komitetu Zakładowego PZPR podjęto uchwałę, w której się stwierdza: „dotychczasowa działalność Rady Pracowniczej jest szkodliwa dla przedsiębiorstwa. Podejmowane przez Radę Pracowniczą działania odwołujące uwagę pracowników na różnych szczeblach od spraw zasadniczych, przypisywanych im do rozwiązania, wywołują niepotrzebne emocje, oraz wywołują rozłam wśród załogi. Sytuacja taka w znacznym stopniu utrudnia kierowanie przedsiębiorstwem.”

Wszystkie działania dzielące załogę, powodujące konflikty, godzą w interes socjalistycznego państwa.”

Plenum KZ PZPR w sporach o pieniądze dopatrywać się zaczęło sporu o władzę. A to już jest polityka. Kto krzykuje szpade w walce politycznej, liczyć się musi z tym, że i on zostanie trafiony. Ba! — skrzywdzony. Polityka to gra męska. Bez pardonów.

12

O sytuacji placowej mistrzów mówi Uchwała Rady Ministrów nr 258 z dnia 28 grudnia 1982 roku. System placowy w Dozamecie odbiegał od ustaleń tej uchwały. Komitet Zakładowy PZPR, Związek Zawodowy Pracowników Dolnośląskich Zakładów Metalurgicznych wystąpił o regulację plac mistrzów. W Zakładach jest ich ponad 100. Klub Mistrzów postanowił zaprosić, na swoje zebranie w tej sprawie, członków prezydium Rady Pracowniczej.

Przewodniczący Rady Pracowniczej Krzysztof Maszkowski wystąpił wobec mistrzów z następującymi stwierdzeniami: reprezentują słaby poziom, brak im odpowiedniej do pełnionej funkcji

ski, rocznik 40, pochodzenie chłopskie, był kolegą szkolnym mgr inż. Waleria na Solińskiego. Również razem studiowali. Potem razem pracowali w Dozamecie.

Inż. Walerian Soliński jest zastępcą dyrektora, członkiem Komitetu Centralnego PZPR, znanym w całym województwie działaczem partyjnym, którego dorobku zawodowego nikt nie kwestionuje.

15

Dyrektor Edward Międzybrodzki podjął kroki. Uznają swoją ocenę sytuacji społeczno-politycznej w Dozamecie za słuszną, mając uchwałę plenarną po sesji Komitetu Zakładowego PZPR o szkodliwości działania Rady Pracowniczej, odwołał z pracy w biurze Rady jej wiceprzewodniczącą, przejął dokumenty biura, zablokował dostęp do radiotelefonu zakładowego i gazety zakładowej.

W odpowiedzi na te decyzje Rada Pracownicza postanowiła zawiesić swoją działalność do czasu aż jej zażąda wysłucha organ założycielski czyli minister Hutnictwa i Przemysłu Maszynowego. Postulat pierwszy wobec Ministra: Zwolnić z zajmowanego stanowiska dyr. Edwarda Międzybrodzkiego. Długo czekali delegaci Rady Pracowniczej na przyjęcie przez ministra. W końcu do audiencji doszło, co prawda nie w gabinecie szefa ministerstwa, a tylko w pokoju dyrektora generalnego i jego doradców. O czym mówiono w Ministerstwie, delegaci milczeli. Powiedzieli że rozmowy były poufne. Nabrali wody w usta. Zdemontowali ich dyskrekcję i wstrętnością po zostali członkowie Rady Pracowniczej podjęli uchwałę kategorię domagającą się przyjazdu przedstawicieli Ministerstwa, który powinien wyjaśnić o czym mówiono z przedstawicielami Rady Pracowniczej! Reakcja Ministerstwa tym razem była szybka: Nie ma potrzeby przyjazdu. Nie ma żadnych tajemnic!

16

Mówi dyr. Międzybrodzki: — Poczuję się do dużej winy, że kierując się troską o zachowanie spokoju społecznego, nie wstrzymałem wyborów. Wtedy właśnie pojawiły się wezwania do cięcia czerwonych i związków. To był mój błąd, którego konsekwencje ponosimy teraz wszyscy. Usiłowałem wykazać dużo dobrej woli we współpracy z Radą Pracowniczą. Wiele wyrozumiałości. Lokalnie żadnego Radzie Pracowniczej nie zabrakło. Jeśli zaś chodzi o skonfiskowane dokumenty, to nie są one moją własnością, ani też własnością przewodniczącego Maszkowskiego. Za obsługę biura odpowiada jednak dyrektor. Błąd dem było zgodzić się z sugestią, że biurem zajmuję się wiceprzewodniczący Rady. Skierowałem go do pracy zgodnej z kwalifikacjami, ponieważ w prowadzeniu biura nie wywiał się z obowiązków.

... Szczęśliwy jest ten dyrektor, w którego zakładzie samorząd działa w imieniu załogi i dla jej dobra. Z przykrością stwierdzam, że u nas jest na odwrót. To, co narzuca określona grupa, jest niedopuszczalne w socjalistycznym przedsiębiorstwie. Starałem tłumaczyć sobie i innym, dlaczego tak się dzieje. Podjąłem decyzję o rezygnacji z zajmowanego stanowiska. Ja tych ludzi nie rozumiem. Dyskutowałem nad założeniami planu produkcyjnego na rok 1983 dokładnie 10 minut? Ludzie zaczynają powoli orientować się, kto z jakich motywów, obiektywnie działa na ich szkodę.

Dyrektor Międzybrodzki po wielu konsultacjach wycofał prośbę o dymisję.

17

— Jest to dalszy ciąg gry z 1980 roku — mówi sekretarz KZ PZPR Jerzy Wardęga. W rozgrywce Rady Pracowniczej z dyrektorem nie ma ani jednego elementu pozytywności. Cała taktyka gry polega na negacji, na działaniu destrukcyjnym. Ma ona doprowadzić do sytuacji, w której Dozamet znajdzie się na dnie.

18

W Dozamecie istnieje już gabinet cieni, który nie może doczekać się chwili na wyjście z cienia i zajęcie miejsca w odpowiednim gabinecie.

Jest lista wspierających materialnie nielegalne grupy pozostałe po „Solidarności”.

Ujęto dwóch kolporterów nielegalnych druków.

Jest wreszcie zakład. Największy w Zielonogórskim. Bardzo trudna sytuacja tego zakładu. Praca na miarę Herkulesa nad wyprowadzeniem tego zakładu na czystą wodę. I jest parę tysięcy ludzi zmęczonych i nie zorganizowaną pracą, utrudnionych nadmiarem nie tylko samą pracą, ale i stanem w kolejkach po kawałek mięsa. Ludzi dalekich od polityki. A jednak od nich zależy właściwie wszystko. Również rozstrzygnięcia w Dozamecie.

RYSZARD ROWIŃSKI

PS. W trakcie przygotowywania „Gry” do publikacji, dowiedzieliśmy się, że po burzliwej dyskusji w dniu 14 lutego, Rada Pracownicza Dozamet, zdeklarowała się stanowisko przewodniczącego ob. Krzysztofa Maszkowskiego. Na stanowisko przewodniczącego powołano ob. Czesława Irysiaka, kierownika odlewni W-1.

(rr)



Sąd Rejonowy w Zielonej Górze, z punktu widzenia ustawy o samorządzie, prawnik mógłby zakwestionować. Ustawa przewiduje, że rada pracownicza funkcjonuje tam, gdzie istnieje samodzielny rozrachunek gospodarczy. W Dozamecie wymyślono strukturę organizacyjną, w której funkcjonuje 20 rad pracowniczych, choć żaden z nich nie ma samodzielności finansowej.

9

Komitet Zakładowy PZPR zaniepokoił się stylem pracy Rady Pracowniczej. Zaczął prowadzić rozmowy wyjaśniające z jej członkami. W tych rozmowach, na wszystkie argumenty przedstawione przewodniczącemu Rady Pracowniczej Krzysztofowi Maszkowskiemu, padała jedna odpowiedź: A ja i tak swoich poglądów nie zmienię.

Za niewywiązywanie się z zadań partyjnych, Podstawowa Organizacja Partyjna w modelarni wykluczyła w końcu Krzysztofa Maszkowskiego z PZPR.

10

W styczniu 1983 roku został opracowany projekt nowego systemu plac. Rada nie ustosunkowała się do tego projektu. Nie uczestniczyła w konsultacjach. Wywalała jedynie zastrzeżenia. Jednak pod presją załogi musiała się projektem zająć. Naciskały organizacje partyjne i związkowe. 14 maja Rada Pracownicza podjęła uchwałę, w której środki przeznaczone na zmiany placowe, rozdysponowane zostaną pomiędzy komórki organizacyjne, proporcjonalnie do liczby pracowników. 28 maja zebranie delegatów poszło za ciosem. Uchwalono, że każdemu należał się równo. Po 1600 złotych. Szansa racjonalizowania systemu placowego została w ten sposób zmarnowana. Na osłode dodano do uchwały następujący passus pod adresem dyrekcji: „opracować odpowiednie kryteria do następnych podwyżek — należałoby przy tym uwzględnić preferencje dla osób najlepiej pracujących oraz wzrost kosztów utrzymania w kraju”.

1600 złotych „na łebka” w Dozamecie 1983 roku było takim samym pojęciem jak „wałesówka” pięćsetzłotowa w 1980 roku.

W kwestii nowego systemu plac Rada Pracownicza ustawiła się w pozycji krytyka i sędziego. W najwłaśniejszej dla załogi kwestii, przecież placę i pieniądze interesują wszystkich. Rada Pracownicza nie miała chęci stać się współautorem i sygnatariuszem takiego dokumentu.

11

Spyry o pieniądze budzą namietność. 7 sierpnia 1983 roku, na plener-

wiedzy fachowej, nie przykładają się do pracy i w związku z tym nie ma uzasadnienia preferencji placowych. Są w zakładzie grupy pracownicze, które bardziej zasługują na podwyżki a mimo to „nie wyciągają rąk”.

Oczywiście, takie stwierdzenie przewodniczącego Rady Pracowniczej wywołało oburzenie mistrzów. I dał temu wyraz.

Rada Pracownicza dokonała oceny: Brutalna napaść mistrzów na Radę Pracowniczą! A cała ta sprawa została wyreżyserowana przez dyrektora!

O wynagrodzenie mistrzów rozpoczęła się kolejna batalia. Dyrektor przedsiębiorstwa zrealizował podwyżkę plac mistrzów, ale z innego funduszu. Rada Pracownicza uznając, że jej ocena pracy mistrzów jest słuszną, stwierdziła — podwyżka uposażeń mistrzów jest dowodem niechęci dyrektora do współpracy z samorządem.

13

Kontroler Delegatury Najwyższej Izby Kontroli, na zlecenie Sejmu, badał skuteczność działania ustawy o samorządzie pracowniczym. Był w Dozamecie prawie przez miesiąc. W zaleceniach pokontrolnych zwrócił uwagę na nieprawidłowości w prowadzeniu biura Rady Pracowniczej. Trzy kandydatury zaproponowała dyrekcja do pracy w biurze. Wszystkie zostały odrzucone. W końcu Rada wydelegowała do tej pracy jednego ze swoich wiceprzewodniczących.

Liczba spień rosła.

Każdy dokument opracowany przez dyrekcję budził nieufność Rady. Nawet wyniki finansowe Dozamet z roku 1984 zostały zakwestionowane. Nawet umowa zawarta przez Związek Zawodowy z energodostawcą partnerem, dotycząca wymiany wczasowej, też została zakwestionowana.

Jest to supozycja: być może członkowie Rady, choć nie byli członkami Związku Zawodowego, mieli ochotę spieć dzię w NRD.

W szczytowym momencie walki z dyrektorem Międzybrodzkim Rada Pracownicza sięgnęła po amunicję najcięższego kalibru. Dała votum nieufności. Przedtem jednak „przystąpił” do dyrektora emisariusz z „pistoletem”: jeśli dyrektor zwolni wszystkich swoich zastępców, zostanie na stanowisku. Wszystkie zarzuty pod jego adresem, nawet wrogosć wobec Rady, pójdą w niepamięć.

Dyrektor Międzybrodzki nie chciał jednak zostać zakładnikiem Rady Pracowniczej. Odrzucił ofertę.

14

W całym konflikcie interesujące są również personalia. Krzysztof Maszkowski

to współczesnym ocenić konsekwencje tych wydarzeń, wyciągnąć z nich właściwe wnioski. Ale to przecież w ich rezultacie w dużej mierze wyrosły późniejszą historię, jak utworzenie w 1701 r. Królestwa Pruskiego czy w 1871 r. zjednoczenie Niemiec i wszystko to, co w ich następstwie działo się dalej w historii aż do 1945 r. Faktycznie Prusy już od drugiej połowy XVII w. rozpoczęły realizację zakrojonej na szeroką skalę gry militarno-dyplomatycznej, polegającej na łączeniu wszystkich terenów leżących w kręgu ich zainteresowań. Były to obszary, które w przyszłości miały być w różnej skali i z różnych motywów działano kolonizacyjną. Przypomnę, że w 1710 r. Prusy opanowały ujście Odry, ze Szczecinem, w 1740 r. rozpoczął

tych ziem. Generalia pruskiej polityki wobec ziem zagrabionych Polsce wyczerpane zostały po Kongresie Wiedeńskim i sprowadzały się do realizacji po stulatę pełnej ich integracji z pozostałymi prowincjami. Znaczną część polskich historyków, w tym także i ja, za twórcę przemyslanej i wyrafinowanej polityki germanizacyjnej na ziemiach polskich uważałem działającego w latach 30-tych XIX w. prezesa Wielkiego Księstwa Poznańskiego Edwarda Flottwella. Preferował on metody polityczne jako sposób osiągnięcia celu, którym było pozabawienie szlachty i polskiego duchowieństwa wpływu politycznych poprzez osłabienie przede wszystkim ich kondycji ekonomicznej i zantagonizowanie ich z masami chłopskimi. Program ów stał się na lat kilkadziesiąt podstawą polityki Bismarcka w zaborze pruskim, którą aż do końca I wojny światowej i później w czasie II wojny światowej uważano

Natomiast spis z 1910 r. informuje o odpowiednio: 60,9 proc. wyłącznie po polsku, 0,6 proc. po polsku i po niemiecku, 38,4 proc. wyłącznie po niemiecku. Nastąpił proces samoidentyfikacji społeczeństwa polskiego. Wśród Niemców zachodziły także jakościowe zmiany. Po zostawieniu elementu najtwardszego, najbardziej zakorzenionego, który po pierwszej wojnie światowej nazwano „mniejszością niemiecką w Polsce”. Wynika z tego, że kolonizacja niemiecka na zachodnich i północnych ziemiach polskich trwała przez wieki. Przez wieki też obydwie nacje tolerowały się wzajemnie. Dopiero uświadomienie polskiemu społeczeństwu wagi zagrożenia niemieckiego w rezultacie pruskiej polityki germanizacyjnej i związane z tym prze-

minacji Polaków? O czym tu w ogóle można mówić? Przecież decyzje o ewakuacji, tj. o przesiedleniu ludności niemieckiej z terenów wschodnich podejmowały jeszcze w czasie wojny władze niemieckie. Później zaś zajęto się tą sprawą na Konferencji Poczdamskiej. My zrealizowaliśmy postanowienia tej Konferencji. Problem „wypędzonych” wymaga jeszcze jednej refleksji. Konferencja Poczdamska dokonując zmian terytorialnych m.in. w odniesieniu do Polski nie popełniła błędów Konferencji Wersalskiej, z godną podziwu konsekwencją nakazującą przemieszczenia ludności z zachodu na wschód, by uchronić Europę przed zarzewiem nowej wojny. Czyżby więc wznowienie ponownie problemu „mniejszości niemieckiej” w Polsce było próbą „naprawienia błędów” Poczdamu? Wydaje się to rzecz tak absurdalna, że nie mieści się w kategoriach normalnego rozumowania. Jest to bowiem sięganie do metod zastosowanych przez Hitlera przed wybuchem II wojny światowej. „Pokrzywdzone” w Traktacie Wersalskim Niemcy w okresie hitlerowskim wszczęły zakrojoną na olbrzymią skalę kampanię o zwrot rzekomo zagrabionych przez Polskę i Czechosłowację ziem. Niemieckie mniejszości narodowe w tych krajach stanowiły pretekst do rozpoczęcia wojny. Dzisiaj sytuacja jest inna, nie tylko ze względu na inne układy polityczne w Europie. Niemniej jednak obserwujemy w RFN dążenia do rewizji układów poczdamskich. Brak tylko realnych faktów, do których odwoływał się Hitler — mniejszości niemieckiej w Polsce. Ten problem — jak już mówiliśmy — został rozwiązany ostatecznie po wojnie. Nie należy zapominać, że to właśnie wtedy przeprowadzono w Polsce weryfikację ludności autochtonicznej. Jej wyniki były zbliżone z liczbą tej ludności ustalonej w spisie z 1910 r. (odliczając Zagłębie Ruhry, Berlin oraz straty biologiczne w czasie wojny) ustaloną na 1 mln 100 tys. osób. Oczywiście, jak pamiętamy, zwłaszcza w pierwszych latach po wojnie różne były koleje losu tej ludności, zwłaszcza na Warmii i Mazurach, na Opolszczyźnie popełniono wobec niej sporo, niejednokrotnie karygodnych błędów, co wynikało m.in. często z niezrozumienia złożonej problematyki ludności polskiej w byłej III Rzeszy i rozdzielenia jej części określone nas troje, ale nie to było i jest decydujące. Zresztą dotyczy to pokolenia już zstępującego. Młodzi wychowali się i wykształcili już w Polsce. A jeśli nawet niektórzy z nich ulegli lub ulegają mirażom życia na Zachodzie, to ma to inną, nie polityczną prerożnienię. Ale o charakterze ludności rodzimej w Polsce i dla Polski decydowali i decydują nadal ludzie pokroju Cichego, Rychłego, Piweckiego, których tradycje do dziś są wśród nas bardzo żywe.

— A jednak jest to jakaś część polskiego dramatu. Doszło do rozbitcia rodzin, z różnych powodów, część jest tam, olbrzymia większość tu.

— Chcę zwrócić uwagę, że należy traktować polską emigrację powojenną w dużej, a nawet decydującej mierze jako emigrację zarobkową. Mam przed oczami moją społeczność, tą z której ja się wywodzę: z całą pewnością mogę powiedzieć, że ani jedna rodzina w całości z Nowego Kramska nie wyjechała. Najczęściej były to i są wyjazdy czasowe w ramach kontaktów rodzinnych i jest to chyba zrozumiałe, bo skomplikowanych losów tej ludności w przeszłości. Posłużyć się encyklopedyczną definicją: autochton to skala, pomimo przesuwów pofabrykowana, ale nie przesunięta!

— Jest pan dziekanem Wydziału Humanistycznego WSP w Zielonej Górze. Jak widzi pan rolę takiej uczelni jak nasza, na zachodnim pograniczu PRL?

— Boleję nad tym, że programy nauczania, począwszy od szkoły podstawowej, nie wyłączały szkoły wyższej, nie zawierają problematyki regionalnej zwłaszcza w zakresie historii regionu, szerzej nawet — tematu Ziemi Zachodnich. A potrzeba taka nasuwa się z całą ostryścią. Jako dziekan będę czynił wszystko, aby to, o co nam idzie, użyło skąd właściwy wymiar.

— Nadal jak widać otwarty jest problem racjonalnego kształtowania orientacji narodowej. Zyczymy w tym dziele powodzenia. Dziękuję za rozmowę.

Zanotował:

WIESŁAW NODZIŃSKI

Kształcenie nauczycieli w PRL i NRD

Wydawnictwo WSP w Zielonej Górze opublikowało materiały z konferencji rektorów wyższych szkół pedagogicznych w PRL i NRD, która odbyła się w 1985 r. w Zielonej Górze. Tematem konferencji były doświadczenia i zadania w zakresie kształcenia i wychowywania nauczycieli dla potrzeb oświatowych w społeczeństwie socjalistycznym. Obok rektorów szkół wyższych w spotkaniu wzięli udział przedstawiciele Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego PRL, Ministerstwa Oświaty NRD oraz władze polityczne i administracyjne województwa zielonogórskiego.

Na program konferencji złożyły się m.in.: przemówienie powitalne dr inż. Henryka Kurowskiego — dyrektora generalnego w Ministerstwie Nauki i Szkolnictwa Wyższego, prof. Ernesta Machačka — podsekretarza stanu w Ministerstwie Oświaty NRD, Zbigniewa Niemnińskiego — I sekretarza KW PZPR w Zielonej Górze. Referat wprowadzający w problematykę obrad wygłosił prof. Kazimierz Jaskot — rektor WSP w Szczecinie. Uczestnicy konferencji opracowali wspólne oświadczenie końcowe, w którym zostały zawarte główne idee i rezultaty spotkania w Zielonej Górze.

Główny nurt rozważań konferencji dotyczył problemu kształcenia nauczycieli w kontekście poszukiwania optymalnego modelu socjalistycznej polityki edukacyjnej adekwatnej w swych rozwiązaniach programowych i organizacyjnych do potrzeb, jakie niesie rozwój społecznej cywilizacji. Kluczowy element tego modelu stanowi nauczyciel — wychowawca. Jego wiedza, oblicze ideowe i zaangażowanie społeczno-polityczne w decydującym stopniu wpływa na kierunek i charakter wychowania młodego pokolenia.

Szkół wyższych stanowią ważny czynnik utrwalania i rozwoju socjalistycznego modelu organizacji życia zbiorowego. Dlatego zarówno w programach partii i ustawodawstwie państwowym funkcje wychowawcze szkół wyższych traktuje się na równi z pozostałymi funkcjami (naukową, dydaktyczną). Stąd działalność wychowawcza nauczycieli nabiera coraz większego znaczenia. Jedną z ich głównych celów i obowiązków pedagogicznych to przygotowanie studentów do roli nauczyciela zarówno w sensie technicznym (fachowość, wiedza ogólna, umiejętności, zdolności) oraz merytorycznym (wyposażenie studenta w odpowiedni zasób wiedzy).

Ideowe i obywatelskie przygotowanie studentów do roli nauczyciela w społeczeństwie socjalistycznym pozostaje także w ścisłym związku z całą sferą postaw i zachowań, które mieszczą się w zakresie terminu etyka zawodowa.

Tem kwestiom poświęcone są m.in. artykuły zawarte w materiałach konferencji. Ilustrują obszar działalności uczelni mieszczący się w zakresie jej funkcji wychowawczych. Czy uczelnie wyższe kształcą nauczycieli, w stanie lepiej te funkcje realizować? Z pewnością tak, bowiem większość przesłanek warunkujących tę możliwość ma charakter wewnętrzuczelniany. Należą do nich m.in. procesy osobowościowe, mające miejsce w uczelni, oraz organizacja wpływów osobowościowych. Aktywizują one aktywność studentów, ich wychowanie i kształcenie w sensie prakseologii czynnej.

W konferencji wzięli udział i zabrali głos m.in. rektorzy z Poczdamu, Zielonej Góry, Greifswaldu, Słupska, Kijewa, Drezna, Rzeszowa, Głuchowa, Olsztyna, Bydgoszczy, Magdeburga i Krakowa. W publikacji zawarto ich wystąpienia w postaci referatów i komunikatów. Było to bardzo pożyteczne spotkanie o czym dano wyraz w oświadczeniu, w którym czytamy m.in. „doskonalenie procesu dydaktycznego i wychowawczego stanowi naczelny i najważniejszy cel działalności szkół pedagogicznych w PRL i NRD (...). Naczelnym celem (tych uczelni — W.H.) jest wychowanie studentów w duchu walki o pokój i dalszy socjalistyczny rozwój społeczny”. Nauczyciel zaś to animator i stymulator tych celów.

WIESŁAW HŁADKIEWICZ

Kształcenie nauczycieli w PRL i NRD. Materiały z konferencji rektorów PRL i NRD. Zielona Góra 1985. Wyd. WSP. Nakład 150 egz. Stron 178.

Nie rzucim ziemi...

się podbój Śląska należącego wtedy do Austrii. W ten sposób doszło do bezpośredniego zaangażowania Prus w proces likwidacji państwa polskiego. Uczestniczyły one w trzech kolejnych rozbiorach Polski. W I rozbiorze użyły m.in. Bydgoszcz, Malbork i Olsztyn, odcinając Polskę od morza, w II rozbiorze oparły swą wschodnią granicę o Sochaczew i Płock, zagarniając województwo poznańskie, Gdańsk i Toruń, natomiast III rozbior przesunął wschodnią granicę Prus po Warszawę

na za wyjątkowo antypolską i to we wszystkich dziedzinach, przede wszystkim jednak ekonomicznej, kulturalnej, religijnej, nie mówiąc już o polityce zgola eksterminacyjnej w czasach najnowszych. I tu chciałbym zwrócić uwagę na niewątpliwą fenomen, który tak wyraziście przedstawiono w telewizyjnym serialu pt. „Najdłuższa wojna nowoczesnej Europy”. W odpowiedzi na politykę germanizacji, Kularkampf, narastającą dominację ekonomiczną, tzw. rugi pruskie, Polacy

ciwdziałanie ze strony polskiej spowodowało ograniczenie efektywności tej kolonizacji, aż do jej całkowitego przerwania po II wojnie światowej. Ale cenę za to musieliśmy zapłacić olbrzymią.

— Jest pan wiceprzewodniczącym Zarządu Wojewódzkiego Stowarzyszenia Wisła-Odra w Zielonej Górze. Na niedawno zorganizowanym przez to Sto-



Jan Cichy z żoną prezentują sztandar Rodła przechowywany przez nich w czasie wojny.

Fot. BRONISŁAW BUGIEL

we, Białostockie, aż po linię Niemna. Po dokonaniu rozbiorów około 40 proc. obywateli tego państwa używało języka polskiego, ale np. w zachodniej części Wielkopolski mieszkali już znaczna część ludności pochodzenia niemieckiego. Był to rezultat prowadzonej w poprzednich wiekach kolonizacji.

— Panie docencie, zarówno pana praca doktorska jak i habilitacyjna: „Położenie Polaków w Marchii Granicznej w latach 1919-1939” i „Polskie polscy w Berlinie 1866-1890” dowodzą, że interesuje się pan szczególnie stosunkowo najnowsza historia polsko-niemieckich stosunków. Chyba i dlatego, że była ona najbardziej dramatyczna.

— Stosunki te nigdy właściwie nie były pozbawione dramatyzmu, ale nigdy też, aż do tego stopnia, jak w XIX w. i później. Zasadniczym motywem działalności Prus i Prusaków było potwierdzenie likwidacji państwa polskiego z panującymi na jego byłych obszarach stosunkami etnicznymi. Szło o to, aby móc twierdzić, że żywił niemiecki decyduje o charakterze i przynależności

podjęli trwającą przez wiele lat działalność, która w literaturze znana jest pod nazwą solidaryzmu narodowego. Można zżymać się na zgodę między klasami społecznymi, ale nie można negować rezultatów tej działalności, jakie w ciągu kilkudziesięciu lat osiągnięto. Przy okazji pragnę odskłamać funkcjonujący u nas stereotyp, że Polacy w byłym zaborze pruskim tak dobrze „pracują”, bo nauczyli się tego od Niemców. Bzdura! Oni musieli być lepsi od Niemców, aby przetrwać. I tacy byli Chłapowscy, Raczyńscy, Mielżyńscy, Cegielscy, Palaczewscy, Drzymałowie, Szafankowie, Gorzalkowie. Po symbole. Ale taka była cała ludność polska w zaborze pruskim, inaczej nie przetrwałaby do dzisiaj. Potwierdzeniem tego było zjawisko nazwane przez Niemców „Ostflucht” czy „Landflucht”, dowodnie świadczące o ich przegranej w tej rywalizacji. Prosta ilustracja tego jest fakt, że np. w 1846 r. w prowincji poznańskiej 52,2 proc. ludności mówiło wyłącznie po polsku, 20,2 proc. po polsku i po niemiecku, 26,6 proc. wyłącznie po niemiecku.

warzyszenie i Lubuskie Towarzystwo Naukowe sesji naukowej stwierdził pan, że obecnie obserwujemy próby podjęcia kolejnej fazy kolonizacji niemieckiej. Mówi się nie tylko o „wypędzonych”, ale także o „mniejszości niemieckiej w Polsce”. Idzie głównie o ludność rodzimą, tzw. kiedyś autochtonów. Jak pan się do tego odnosi i jak określiłby pan aktualną kondycję narodową tej części naszego narodu?

— Uściślijmy co to znaczy „wypędzeni” lub „niemiecka mniejszość narodowa” w Polsce? W pierwszym przypadku używano tego określenia w stosunku do niemieckich przesiedleńców z terenów polskich po wojnie. To nie my je wymyśliłmy. A co to były rugi pruskie, jak nie wypędzenie? A wysiedlenia na ogromną skalę w czasie okupacji, nie mówiąc już o zyskach do obozów koncentracyjnych, masowej ekster-

Henryk Szylikin

Z „Psalmów ostatecznych”

Psalm o utraconej nadziei

Jak mało znaczyć będą zdania twoje,
jakże niewiele wzruszy płacz.
Papier pozostanie papierem,
słowa — słowami,
a lzy — kropelkami wody.
Zostaniesz ubogim — lecz bogatym w smutku.
Nie czekaj więc na dzień bez żółci,
ani na noc,
w której zakwitną niezapominajki.
Jutro odbijesz się od brzegu
jak zwierciadło księżycy od tafla jeziora
i popłyniesz wielojęzycznym okrętem na odległość horyzontu,
a żadna wiołoncza nie zagra koło twojej szyi.
Nie będziesz też niebem, ani przystanią spokoju
wśród uspijonych klonów.
W godzinie klęski, która odmieni twój los
zapomnisz o wydmach piasku,
gdzie leżałeś pod kopułą słońca
z odcisniętymi ustami na zielonym liściu.
Przerażone ptaki odlecają z pamięci
wczorajszego dnia —
odmawiając ci dalszej łaski śpiewu.
I zostaniesz papierowym krzykiem,
a w żenicach mgłami zasnuta ziemia
ucieknę spod nóg.



Rys. RYSZARD RYCZKOWSKI

Psalm o wyroku śmierci

Morderco ziemi i dzieci własnych,
istoto zawieszona na czarnej pętli losu
pomiędzy dobrem a złem.
Tylko otwarte oczy śmierci ukazą tajemnicę
twojej natury.
Obdarty ze spokoju płaczem pól
zrozumiesz czemu serce masz podobne do próżni Torricellego.
Twoje ręce bezkarnie mordowały drzewa i kwiaty —
a ty zatykałeś uszy na różnokolorowy jęk ptaków.
On był pieszczotą okrutną, a miłość własna
nie pozwalała ci myśleć o innych.
I oto jutro na widok okaleczonych lasów
zmaleją twoje pożądania.
Zawyrokujeś głosem faryzeusza by trucicieli
stracić w szósty krag piekła,
a brzoskwińiami obsadzić aleje.
I zapytają ci rzeki cuchnące —
gdzie są ryby, żaby zielone i grązele złote —
a ty im nie dasz odpowiedzi.
I zapytają lasy umarłe
o modrzewie wyniosłe i śpiewające jawory —
a ty im nie dasz odpowiedzi.
I zapytają popękane pola o miejsce bez siarczanu miedzi
i tlenku azotu —
a ty im nie dasz odpowiedzi.
I przygasną oczy twoje i zbledną policzki twoje —
aż zrozumiesz,
że jesteś także do trupa podobny.

Feldmarszałek Edward Milch,
generalny inspektor Luftwaffe
i zastępca Göringa, na jednej z
narad zapytał czołowego
fizyka niemieckiego Wernera
Heisenberga, powołanego na
stanowisko kierownika tzw.
„studium uranowego.”

— Zrozumiałem — mówił
marszałek, — że wg obliczeń
fizyków, jedna jedyna „bomba
uranowa” może znieść z
powierzchni ziemi całe wielkie
miasto. Chciałbym się jednak
dowiedzieć, jak wielka musi być
taka bomba?

— Wielkości ananasa —
odpowiada Heisenberg.

Heisenberg, który jest laureatem nagrody Nobla z 1932 roku ma podczas tej rozmowy jeszcze słuchaczy: Alberta Speera — hitlerowskiego ministra zbrojeń i Ferdynanda Porsche — konstruktora Volkswagena. Konferencja ma miejsce w dniu 4 czerwca 1942 roku w Instytucie Fizyki im. Kaisera Wilhelma w Berlinie. Indagowany dalej Heisenberg stwierdza, że budowa takiej bomby kosztować będzie miliardy

przedzień odleciał. Tego samego dnia, kiedy to nad pustynią Alamogordo wznosił się grzyb pierwszego atomowego wybuchu a krążownik „Indianapolis” wyruszył z San Francisco wioząc na wyspę Tinian bombę atomową przeznaczoną dla Hiroshimy tj. 16 lipca 1945 roku prezydent Truman zrobił ze swojej kwatery wypad do Berlina, aby zobaczyć, jak wygląda obecnie stolica dawnej III Rzeszy. Kwatery, o której mowa, znajdowała się w Poczdamie, dokąd Truman przybył poprzedniego dnia wieczorem na umówione spotkanie ze Stalinem i Churchill'em.

W roku 1945 nowy prezydent Stanów Zjednoczonych — który objął to stanowisko po zmarłym 12 kwietnia tegoż roku Franklinie Roosevelt — ukończył właśnie 61 lat. Miał bardzo małe a raczej żadne doświadczenie w polityce zagranicznej nie znał też zupełnie innych narodów Rosjan wyobrażał sobie jako „ludzi o złych manierach”. Jak zmusić tych ludzi o złych manierach, aby poddali się regułom zachodniej gry, tj. inaczej mówiąc — amerykańskiemu dyktatowi? Truman był przekonany że najlepszym argumentem dla tego celu będzie nowa bomba. Dlatego też nalegał, aby konferencję w Poczdamie rozpocząć nie wcześniej niż 15 lipca, ponieważ Groves za pewniał go, że do tego czasu bomba będzie na pewno gotowa. Jak wiemy,

A przecież jeszcze w Jałcie Roosevelt nalegał usilnie na Stalina, aby ZSRR możliwie najszybciej przystąpił do wojny z Japonią. Już po zwycięstwie nad Niemcami a mianowicie 21 maja 1945 r. minister obrony USA Henry Stimson stwierdził: „Przystąpienie Rosji do wojny z Japonią będzie miało ogromne militarne znaczenie i zaoszczędzi życie wielu amerykańskich żołnierzy”. Szef amerykańskiego sztabu generalnego George Marshall oświadczył nawet, że: „rosyjski udział stał się może decydującą akcją, która skłoni Japończyków do kapitulacji”, nie wspominając o roli bomby atomowej w tej dziedzinie. Nawet prezydent Truman uważa z początku za swe główne zadanie w Poczdamie skłonienie Stalina do jak najszybszego wywiązania się z jałtańskiej obietnicy, tj. skierowania wojsk radzieckich na Daleki Wschód. Dopiero relacja z udanej eksplozji nuklearnej na pustyni Los Alamos zmienia radykalnie stanowisko stony amerykańskiej.

Od tej chwili pragnęłaby ona uniknąć udziału ZSRR w wojnie z Japonią, aby — jak to określa Stimson — „za memu obsadzić wyspy japońskie po kapitulacji rządu cesarskiego”. Czynnikiem, który miał tę kapitulację zapewnić, to oczywiście bomba atomowa. Skutki jej użycia były: 250 tysięcy mieszkańców Hiroshimy i Nagasaki umiera a ponad 300 tysięcy skazanych

ZANIM SPADŁA NA HIROSZIMĘ (2)

i trwać wiele lat. Na to sobie III Rzesza pozwolić nie może.

Tymczasem Stany Zjednoczone w tym właśnie czerwcu 1942 roku przyłączyły się do rozmachem do realizacji tzw. „Manhattan Project” tj. programu budowy bomby atomowej. W przeszło rok później, 19 sierpnia 1943 roku, prezydent USA Franklin Delano Roosevelt i premier Wielkiej Brytanii Winston Spencer Churchill podpisali ściśle tajne porozumienie w sprawie broń atomowej. Porozumienie to zawierało zobowiązanie, że obydwie strony nie użyją nigdy nowej broni przeciwko sobie a ewentualne użycie wobec innego kraju nastąpić może tylko po obopólnej konsultacji oraz że nie będą w żadnym wypadku przekazywać komukolwiek danych o niej.

W chwili spotkania Roosevelt — Churchill było już rzeczą oczywistą, że Niemcy i Japonia wojnę przegrają. Wg meldunku, jaki prezydent otrzymał od gen. Grovesa, nowa broń mogła być wyprodukowana za jakieś półtora roku, tj. mniej więcej wiosną 1945 r. Było więc jasne, że bomba miała być służyc jako narzędzie amerykańskiej do minacji nad światem i element groźby wobec innego mocarstwa. Łatwo odgadnąć, oczywiście, że miano na myśli Rosję Sowiecką. W tym celu należało jednak zapewnić anglo- (jak tu dził się Churchill) — amerykański monopol na tę bombę. Było przecież oczywiste, że również Rosjanie w niedalekiej przyszłości potrafili skonstruować broń atomową, bądź dzięki własnym badaniom, bądź też — jak przypuszczali Amerykanie — w wyniku uzyskania niezbędnych danych drogą wywiadu.

Aby więc pozbawić Rosjan możliwości zbudowania bomby, należało zapewnić sobie anglo-amerykańską kontrolę nad światowymi złożami uranu. Pierwszym krokiem było wykupienie wszystkich akcji „Union Minière”, towarzystwa kontrolującego znajdujące się w Kongo Belgijskim najbogatsze ze znanych wówczas złóż uranu na świecie. Ogromne zakłady w Hanford położone na północnym zachodzie Stanów Zjednoczonych i zatrudniające ok. 50 tysięcy pracowników, zaczęły pełnić parę przerabiać rudę uranową a zgromadzeni w Los Alamos naukowcy prowadzić coraz bardziej intensywnie badania. Jak wiemy, doprowadziło to do wydarzenia, opisanego na początku tej relacji a mianowicie — pierwszej doświadczalnej eksplozji atomowej na pustyni Alamogordo w dniu 16 lipca 1945 roku.

Tego samego dnia — z portu w San Francisco wyruszył w drogę, do odległej o 9 tys. km wyspy Tinian, amerykański krążownik „Indianapolis”. Na jego pokładzie znajdowała się bomba, która wkrótce miała przynieść zagładę Hiroshimy. Nazwano ją pieszczotliwie „Little boy” — mały chłopiec. 26 lipca krążownik przybył do miejsca przeznaczenia. Tu, na wyspie Tinian, od kilku miesięcy trenowały stacjonary wybrane i dobrane załogi 15 specjalnie przygotowanych samolotów typu B-29. Tylko dowódca całej eskadry, pułkownik Tibbets, wiedział o celu tego zgrupowania. Swoim ludziom oświadczył jedynie, że ich misją doprowadzi do szybkiego zakończenia wojny. Objął, że misja polegała na tym, aby wytypowany samolot zrzucał nad wyznaczonym celem „ładunek” jaki będzie miał na pokładzie i czym

stało się tak rzeczywiście następnego dnia, tj. 16 lipca 1946 r.

x x x

28 maja 1945 roku dwaj uczeni należący do głównych twórców amerykańskiego programu atomowego — Leo Szilard i Harold Urey — przyjęci zostali przez nowego sekretarza stanu Jamesa Byrnesa w jego rodzinnej posiadłości w Nowym Orleanie. Przybyli tu z myślą, aby odwieść kierownictwo polityczne Ameryki od ewentualnego użycia nowej broni. Niemcy hitlerowskie były już pokonane, Japonia zbliżała się do swej nieuchronnej klęski a przeprowadzenie wybuchu atomowego, jako nie tylko aktu wojennego wobec Japonii, ale i demonstracji siły wobec Rosji, uważali za niebezpieczne, gdyż rozpętałoby to niewątpliwie wyścig nuklearny między USA a ZSRR. Na stwierdzenie Byrnesa, że Rosjanie nie mają przecież uranu, odpowiada Szilard: „Wątpię, aby jakiegokolwiek rozsądny człowiek mógł przypuszczać, że państwo zajmujące 1/5 kuli ziemskiej nie znajdzie bez większego trudu złóż rudy uranowej na swoim terytorium”.

Na apel Szilarda i Ureya, aby nie zastosować bomby atomowej wobec upadającej już Japonii, Byrnes w amerykański zaiste sposób odpowiada, że na budowę tej broni wydano przecież ponad 2 miliardy dolarów i zarówno Kongres, jak i społeczeństwo USA mają prawo widzieć rezultaty osiągnięte tak wielkim kosztem. Dał przy tym do zrozumienia, że chodzi nie tylko o uderzenie atomowe na Japonię, której naród amerykański chciał odpłacić za Pearl Harbour, ale również o demonstrację amerykańskiej potęgi wobec Rosji.

— Pochodzi pan przecież z Węgier — zwrócił się do Szilarda — nie może więc chyba być pańskim życzeniem, aby Rosjanie pozostali w tym kraju na czas nieograniczony.

x x x

Jak powinna być użyta bomba atomowa wobec Japonii? Z ostrzeżeniem o ewentualnych skutkach i wezwaniem do kapitulacji? Poprzez dokonanie dla nich specjalnego „pokazu” na bezludnym miejscu? Specjalna komisja powołana przez prezydenta opowiedziała się za najbardziej dramatycznym i bezwzględny wariantem. Bomba powinna być bez żadnego uprzedzenia zrzucona na wyznaczone cele. Tylko to wywoła tam szok tak wielki, że Japonia skapitułuje i życie wielu żołnierzy amerykańskich, którzy musieliby dalej walczyć z tym zacięłym przeciwnikiem, zostanie ocalone. Grały tu także rolę czynniki psychologiczne: za piekła nienawiści wobec Japończyków w USA oraz świeży fakt okupienia zdobycia Okinawy strata 70.000 zabitych i rannych żołnierzy amerykańskich.

A jednak w rozumowaniu tym tkwił zasadniczy błąd. Amerykanie rzeczywiście musieliby zapłacić wielką cenę, gdyby nadal musieli sam na sam walczyć z Japończykami ale zapowiedziane na 8 sierpnia 1945 r. przystąpienie ZSRR do wojny z Japonią z góry przesądzało jej szybki i ostateczny wynik. Postanowiono więc zrzuścić bombę atomową na Hiroszimę już 6 sierpnia i nie czekając na reakcję Tokio zaraz następną na Nagasaki, aby odnieść samodzielnie zwycięstwo i nie dzielić się jego owocami z Rosją.

zostaje na straszliwą chorobę poprościenną. Ale wszyscy historycy są zgodni, że rozbić przez wojska radzieckie japońskiej armii kwantuńskiej pozostawiało cesarstwo jego ostatecznej opory i definitywnie skłoniło je do kapitulacji.

Wówczas jednak — w drugiej połowie lipca — Truman jest przekonany w Poczdamie, że obecnie Ameryka otrzymała broń ostateczną, która pozwoli jej dyktować wszelkie warunki. Jak pisze w swych pamiętnikach Winston Churchill — zachowanie prezydenta USA po otrzymaniu meldunku o udanej eksplozji nuklearnej uległo zasadniczej zmianie. „Stał się on innym człowiekiem” — pisze Churchill — a jego postępowanie wobec Rosjan zaczęło cechować twardość i nieustępliwość”.

24 lipca Truman postanowił powiadomić krótko Stalina o posiadaniu przez Amerykę nowej broni. Przechodząc po skończonym posiedzeniu obok przywódcy radzieckiego zatrzymał się na krótko i za pośrednictwem tłumacza Charlesa Bohlena powiedział: — „Mamy obecnie do dyspozycji nową broń o niesłychanej sile zniszczenia”. Churchill, który z odległości 5 metrów obserwuje tę scenę, jest zdumiony reakcją generalissimusa. Widzi mianowicie, że Stalin uśmiecha się uprzejmie i odpowiada coś prezydentowi. Truman w swych wspomnieniach stwierdza, że odpowiedź ta zawierała tylko zdawkowe podziękowanie za informację i wyciągnię z tego wniosek, że przywódca radziecki nie rozumiał wagi przekazanej mu wiadomości.

Tymczasem rzecz miała się wręcz odwrotnie. Stalin mianowicie świetnie rozegrał tę pokerową partię, nie dając niczego po sobie poznać. Natomiast doskonale wiedział o co chodzi. Świadczy o tym pamiętniki Zukowa, który pisze, iż po powrocie do swej rezydencji Stalin powiedział, że należy polecić Kurczatowowi, aby przyspieszył tempo swych prac. To samo potwierdza również Molotow. Kurczatow — jak wiadomo — nazywany jest powszechnie „ojcem radzieckiej bomby atomowej”.

Stalin powiedział do swych współpracowników, że bomba atomowa to broń, która ma za zadanie przestraszyć słabszych i mieczaków.

I rzeczywiście, już podczas londyńskiej konferencji ministrów spraw zagranicznych wielkich mocarstw, jaka odbyła się we wrześniu 1945 r. w Londynie — Molotow pyta amerykańskiego sekretarza stanu Byrnesa:

— Czy przyjechał pan tu z bombą atomową w kieszeni?

Ponieważ rozmowa ma miejsce w bufecie, udaje z powodzeniem podpiętego i szepece Byrnesowi do ucha:

— Wie pan, my także już tę bombę posiadamy.

Wtedy Gusiew, robiąc przerażoną minę, wyciąga pospiesznie Molotowa do innego pomieszczenia co umacnia innych w przekonaniu, że Molotow się niepotrzebnie wygadał.

A więc amerykańska polityka nacisku atomowego zawiodła.

Niebawem mieli już Rosjanie własną bombę atomową, później wodorową, następnie rakiety balistyczne, system satelitowy itp., itp. Kokolwiek Amerykanie zaczęli, Sowieci natychmiast ich doganiali. Zademonstrowali w sposób oczywisty, że nie można osiągnąć nad nimi przewagi i zapewnić zwycięstwa.

Opracowanie i tłumaczenie
MICHAŁ HOROWICZ

(...) Mimo tych kłopotów i zajęć postanowiliśmy z Maryną wyjechać pod koniec lata na krótki urlop. Dręczyło nas przekonanie, że może to być ostatni wspólny odpoczynek. Widmo więzienia, zwłaszcza po Kongresie Centrolewu ciążyło w sposób coraz bardziej oczywisty. Wybraliśmy miejsce bardziej ustronne niż zawsze. Tupadły koło Jastrzębiej Góry były w tym czasie typową kaszubską wioską, ukrytą w sadach i oddzieloną niewielkim lasem od morza. Zgodnie z tradycją wyjechaliśmy z Jaską Zawistowską, wspomnianą już „bombą”. Czesiek w tym czasie przechodził przeszkolenie wojskowe i miał wpaść dopiero później. Wynajęliśmy w trójkę dużą izbę w chacie rybaka. Parawan oddzielał moją kózkę, dziewczyny spały razem. Koniec sierpnia zapowiadał się pogodnie. Morze nie było burzliwe i układało się łagodnie obok kamieni Jastrzębiej Góry. Słońce operowało natarczywie, letników było sporo i dziewczyny nie bez trudu znalazły ustronne miejsce, gdzie mogły zdjąć kostiumy. Sporo pływałem i byłem w dobrej formie. Zawsze mi dopisywał humor w chwilach ostatecznych. Wierzyłem nie tyle w szczęśliwą gwiazdę, co w wyroki historii, które potwierdza diagnozę. Sądziłem, że mimo wszystkich przeciwności potrafię przeżyć i znaleźć się w nowej epoce. Trudno powiedzieć, skąd mi się to przeświadczenie brało, lecz stanowiło źródło otuchy zarówno w więzieniu, na wojnie, jak i podczas późniejszych konfliktów, w wyniku których schodziłem z zajmowanych stanowisk, by zaczynać od początku. Być może sprawa sprowadzała się do biologii. Kochałem zresztą nadal kobiety, i to w sytuacjach najmniej spodziewanych. W każdym razie i wówczas, między Jaską i Maryną, byłem dobrej myśli i siedłem na spotkanie lat więzienia z podniesioną głową. Nigdy na ten temat nie mówiłem z Maryną, jakby w obawie, że może nie potwierdzić moich przypuszczeń. Jej obawy nie były mi znane i nie usiłowałem ich poznać. Czy nasze małżeństwo potrafi przetrwać więzienie? Nie myślałem o tym. Nie byłem pewny, czy kobiety sprawy erotyczne przeżywają podobnie do nas. Sądziłem raczej, że ich dianoza uczyć jest bardziej bogaty. Nie spowiadały się zresztą przede mną. Trochę Jaska i to powściągliwie. Kiedyś zaskoczyłem ją na stosunku z mężem i gdy Czesiek wyszedł, natychmiast zbliżyłem się do niej. Powiedziała mi wówczas, że podczas stosunku z mną nie myśli o miłości. „A o czym?” — zaprzętałem naiwnie. „O niczym”. Nie wiem, czy zdajesz sobie sprawę, że gdy w słoneczną pogodę włożę się do łóżka z każdym moim chłoncek”. „Dlaczego tego nie robisz?” — „Po pierwsze nie mam gdzie, a po drugie, jak powiedział Boy, chodzi o to, by dwoje chciało naraz. Kiedyś byłam młodszą, myślałam o miłości. Miłość jednak z reguły się nie sprawdza, natomiast sprawdza się namietność”.

x x x

Noc sylwestrową spędziliśmy w Zwardoniu. Pogoda wyjątkowo dopisywała. Upiliśmy się na czeskiej stronie i podchmieleni wróciliśmy do chaty naszego gazdy. Stary gazda również był w różowym humorze i zaprosił nas do siebie na poczęstunek. Syn jego, porucznik brygady podhalańskiej, przyjechał z młodą żoną na święta i butelka samogonu ze sliwek poprawiła nam nastroje. Różne były oczywiście nasze plany i nadzieje, lecz łączyło nas przekonanie, że świat wart jest jednej nocy, a młode żony, chociaż nie zastępują kochanek, także nie są do pogardzenia. Porucznik zabierał się do Maryny, ja byłem nie-

co bardziej dyskretny, gdyż pomimo sporej dozy alkoholu miałem szacunek dla jego munduru. W pewnej chwili wyszedłem przed chatę i oszłomił mnie mróz, śnieg, księżycowa noc, białe góry, iskrzące się w blaskach księżyca. Usiadłem na ławce, na której młoda dziewczyna, córka czy wyrobnica gazdy, starała się, nie bez trudu, odzyskać przytomność. Zamiary mieliśmy podobne i wspólnie szukaliśmy ujęcia dla zbyt podniosłych nastrojów. Nie było to proste, gdyż „spodów”, „halek”, koszułek było mnóstwo, dopiero brak majtek ułatwił sytuację. Nikt nie nadchodził. W chacie śpiewano coraz głośniejsze. Księżyc przechylił czapę i pijany uganiał się po zboczach. Na ziemi wygodniej było niż na ławce i gdy wszystko mieliśmy za sobą, długo musiałem

Mówiło nam się leniwie, lecz z sentem. Świat nie był tak różowy jak wczoraj. Porucznik mnie Maryną wymawiał z szacunkiem, ja gazdzinkę wspominałem czule. Okazało się, że ucieka od męża, który za bojkę na weselu odświadczył wyrok. Osmieiliło mnie to do tego, by spotkać się z nią jeszcze kilka razy, zanim nie wyjechalismy z powrotem do Warszawy.

x x x

Stacha, takie nosiła imię, odwiedzała mnie coraz częściej. Oczyszczona, z zawodu psycholog, mają ją rzucić, jedno dziecko; zaczęła pracować w delegacji Czerwonego Krzyża. Szanowała ojca, wedle niej był to przyzwoity człowiek, lecz nienawidziła bolszewików. W swoim czasie był naczelnikiem „tury” w Orle i czuł się winny zwycięstwa rewolucji, gdyż podległych mu więźniów puścił na wolność. Stacha nie miała złudzeń, wiedziała kim był ojciec. Reżim w Polsce wydawał się jej nieznosny. Współczuła więźniom, lecz sądziła, że kary za przestępstwo winny istnieć. Komunisty w Polsce nie mieli racji bytu i Stacha dziwiła się, że mogłem wpaść w taką pułapkę. Nie zamierzałem się tłumaczyć i przekonywać córki naczelnika więzienia. Natomiast coraz częściej trzymałem ją za rękę i pewnego razu sięgnąłem pod sukienkę. Drgnęła, zaczerwieniła się i powiedziała „nie trzeba”. Ustąpiłem, lecz na drugi dzień gest powtórzyłem. Stacha nie pytała, czy ją lubię. Zresztą w warunkach więziennych pytanie było bez sensu. Uległa w sposób zupełnie nieoczekiwany i gdy wyszła, sam byłem zaskoczony tym, co się stało. Po kilku dniach

Maryna wiedziała o mojej miłości w Meżeni. Nie mogła się nie domyślać, znając moje sto sunki z Jaską przedtem. Pewnego razu, przeprając się podczas burzy przez Narocz, o mało nie wywróciłem kajaka. „Chcesz mnie utopić, by mieć wolną rękę?” — krzyknęła Maryna. „Nie wyglądam jak pilnującego steru”. Wiatr zrywał nasze słowa i znosił je do brzegu. „Tobie nie przeszkadza w uprawianiu łajdactw, nawet z ko biętą w ciąży”. „Nie w ciąży, lecz z dzieckiem”. „To wszystko jedno. Spaleś ze mną tej samej nocy, kiedy wrócisz od niej”. „Masz o to żal do mnie?”. „Nie mogę ci tego przebaczyć”. „Tylko tyle?”. „Złamiesz, idioto, wiosło”. „Uważaj na ster”. „Co też ona w tobie widzi?”. „To samo, co ty”. „Nie zazdrościsz jej. Taki fajtłapa, który nawet kajaka nie umie prowadzić. Puść wiosło, bo nas wywrócisz!”. „Fale znoszą do brzegu”. „Nie znoszą, a spychają na wyspę”. „Może i lepiej, jeżeli nie zadłabią nas ptaki”. „Zurawie?”. „O do diabła, myślałem, że pęknie”. „Co?”. „Wiosło”. „Kierujemy się na wyspę”. „Co ci przyszło do głowy, wypłynąć w taką pogodę?”. „Świeciło słoń ce”. „Wiatr i chmury na horyzoncie. Mówiłam ci”. „Teraz jest zbyt późno na wyrzuty sumienia”. „Na Jaskę również?”. „W twoim wypadku napewno”. „Jesteś bezczelny. Uważaj!”. „Ster w lewo. Co ty wyprawiasz?”. „Przed nami rafy!”. „Nie rafa, a kamienie, gdzie srają żurawie”. „O do diabła siedźmy”. „Zepchnę kajak, tylko trzymaj ster!”.

Fale były mniejsze i do wysepki dostaliśmy się bez trudu. Ptaki wrzeszczały, lecz nie ruszały się z miejsca. Wyłazłszy z kajaka na brzeg i przy wiąaliśmy do drzewa. Byliśmy zmęczeni. „Mu-

Epizody z życia EROTYCZNEGO

Włodzimierz Sokorski

otrząpywać ze śniegu barani kubraczek gazdzinki. Wysiłek dobrze nam zrobił i mogliśmy względnie przytomnie powiedzieć sobie kilka miłych słów. Gazdzinka nie była panną i nie musiałem mieć wyrzutów sumienia. Noc sylwestrowa ma swoje prawa. W dobrych humorach wróciliśmy do chaty. Porucznik ciągle był zajęty Maryną. Porucznikowa miała szczerą chęć ją obić. Stary gazda usiłował być dżentelmenem i tłumaczył jej, że nawet bydlątka zachowują się o tej porze nienormalnie. Ukłękłem przed rozniewianą dziewczyną i zapewniłem ją o swojej miłości. Porucznik, widząc, co się święci, wziął ją pod pachę i wyprowadził do sąsiedniej izby. Usiłowałem zrobić to samo z Maryną, ale nogi mi się plątały i musiałam mi pomóc gazdzinka. Dalej już niewiele pamiętam. Nazajutrz bolała mnie głowa i siedziałem bezmyślnie na progu chaty. Porucznik znalazł się obok i był w podobnym nastroju.

zjawiała się znowu. „Boję się, że nas zobaczą” — mówiła, lecz samą ułatwiała mi zbliżenie. Skarżyła się na samotność. Córka naczelnika więzienia, urzędnika jeszcze z czasów carskich, nie była w mieście lubiana. Poświęciła się wychowaniu córki. Mąż ją rzucił dla młodej sekretarki. Nie próbowała nawiązywać innych stosunków, lecz brakowało jej ludzkiego ciepła. Stąd miłość do mnie, głupia i bez sensu. Zdarza się jednak, że podobne chwile są ceną życia. Człowiek nie potrafił siebie wytłumaczyć. Małżeństwo, dziecko, mąż, chciała by córka była szczęśliwa. „Wydzień i pojedziesz do domu, ja zostanę, lecz nie martw się, dam sobie radę. Nie będę ci się naprzykrzała”.

Mineło kilka tygodni. Apelacja zrzuciła mi rok. W kilka miesięcy później wypuszczono mnie na przedterminowe zwolnienie bez podpisania deklaracji. Pożegnałem się ze Stachą w jej mieszkaniu. Plakała. Miałem także łzy w oczach.

x x x

W atmosferze lasów, wody, jarskiej kuchni, drzemających namiotów zaczęliśmy się z Jaską ponownie kochać. Miłość była gwałtowna, nie na miarę dotychczasowych zbliżeń. Jaska po urodzeniu dziecka rozkwitła, stała się bardziej dojrzalsza, myślała nie tylko o sobie, lecz i partnerze. Chwilami wydawało mi się, że Jaskę do tego stopnia kocham, że nawet byłbym gotów z Maryną się rozwieść. Jaska stosunkowo łatwo wyjaśniała, że pomysł jest bez sensu. Twierdziła, że z nami Czeska i Maryną, Elżbietka utraci ojca, po dwóch miesiącach pożądanie wróci do rygorów małżeńskich i wszyscy będziemy żałować chwil uniesienia. „Ten miesiąc nam wystarczy, a potem od czasu do czasu przyjdzie do ciebie. Co możesz osiągnąć więcej żeniąc się ze mną?”. Istotnie, nie miałem argumentów, poza namietnością. Podczas wieczornych spacerów kochaliśmy się nawet w lesie. Nie pochwalala naszej miłości jej dnyne Wanda. Jaska jednak ją przekonała, że w każdym dobrym małżeństwie potrzebne są chwile wytchnienia. Swoją wrażliwość erotyczną tłumaczyła biologią, potrzebą zaspokojenia wyobraźni, która ją prześladowała od dzieciństwa. „Człowiek nie powinien postępować tak, jak to jest przyjęte, lecz zgodnie ze swoją naturą, moralnością, etyką, starając się oczywiście nie robić krzywdy partnerom. Jestem przeciwna rozwodom, zwłaszcza gdy są dzieci. Natomiast lenistwo męża winno być ukarane”. Sądzę, że wypowiedzi Jaski nie pozostały bez wpływu na przyszłe życie Wandy. Z Marianem Bogatko na podobne tematy nie rozmawiałem. Z reguły unikałem opinii mężczyzn, gdyż ich egoizm w stosunku do własnych żon nie pozwalał im obiektywnie myśleć.

Pod jednym względem Jaska była nieubłagana. Nie zgadziła się kochać w swoim własnym namiocie. Dręczyła ją świadomość, że może się Elka zbudzić, przestraszyć i obraz wyrodnej matki będzie ją prześladował całe życie. „Tak było w moim wypadku. Przez jakiś czas nienawidziłam ojca, pokazując mu język. Skarżył się nawet matce na moje złe wychowanie, co oczywiście nie miało żadnego wpływu na mój sposób bycia”. Pod koniec pobytu Jaska mnie zapytała, czy ciągle myślę o małżeństwie. „Przyznam się, że nie, chociaż myślę o tobie”. „Tak też przypuszczałam. I gdy wrócisz z kajakowania na litewskich jeziorach, powiesz mi, które wakacje były lepsze”.

Z Maryną i jej towarzystwem spotkaliśmy się w dwa tygodnie później nad Narocz. Zatoczka nad którą rozbiliśmy namioty, odrodzona była od ładu szuwarami i wysepka, pełna ptactwa i krzyku. Wokół lasy, cisza, obłoki, słońce. W noc stanożnia zwierząt i wrzaski pachaczy Maryna cieszyła się jak dziecko. Towarzystwo (trzy pary) było miłe i politycznie obojętne. Kapiela, plaża, po południu brzdęk czasami do zimnej kola- cji alkoholu, miłość w namiotach i sen, również bezmyślny, co moczny.

simy tu siedzieć?” — denerwowała się Maryna. Zimno ci? „Burza już przeszła i zaczyna padać deszcz”. „Tylko tego jeszcze brakowało”. „Będzie mi odpływać”. „Wiatr się uspakaja i gdy fale będą mniejsze spróbujemy. Może jeszcze się gdzie litewski samogon”. „Tobie tylko wódka i dziewczyny w głowie”. „Dziękuję, temu nie jestem wobec ciebie bezradny”. „Nigdy nic nie wiadomo”.

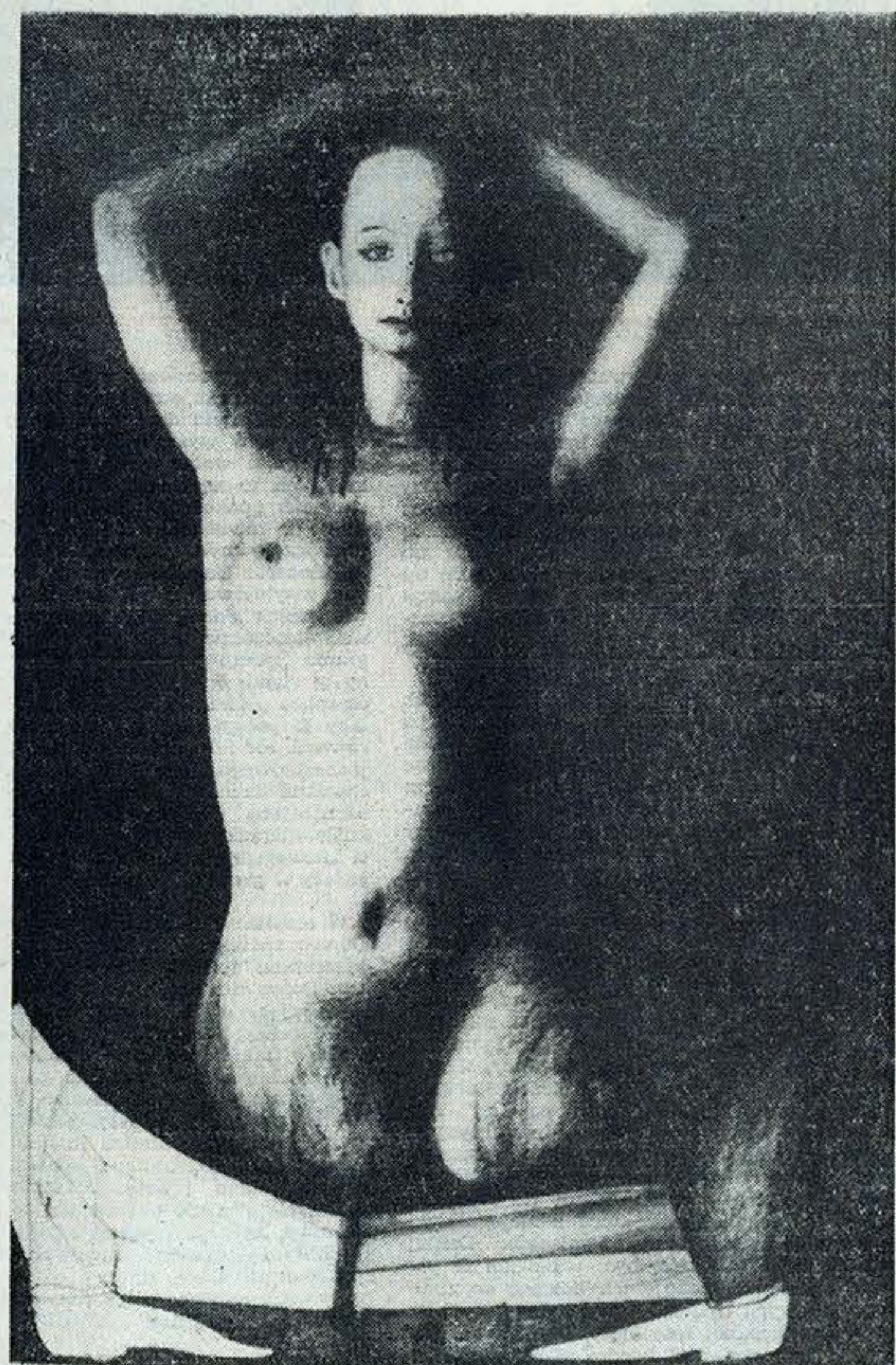
Maryna umilkła i jakiś czas nie odzywała się. Deszcz był coraz większy. Zepchnęliśmy kajak i wydosłaliśmy się za pasmo kamieni. Fala znowu rzuciła nas w głąb jeziora. Ściemniało się. Należało się spieszyć. Na brzegu czekało całe towarzystwo. „Baliśmy się o was, co do cholery robiliście tyle czasu?”. „Zmarzłam, może dacie mi coś narzucić?”.

Była to jedyna rozmowa na temat Jaski podczas pobytu nad Narocz.

x x x

Wróciwszy do Kowla, stanąłem przed komisją lekarską, która stwierdziła konieczność mojego wyjazdu do sanatorium w Gurzufie na Krymie, co miało być pewną rekompensatą po latach więzienia. Pociąg do Symferopola wlokł się długo i niecierpliwie. Na autobus do Jalty nie czekałem długo. Krętą drogą wspieliśmy się w góry. Dusząco, upał za oknem, chorowali nawet marynarze. Dopiero przelecz nad Gurzufem otworzyła morze i mogliśmy wysiąść. Pielęgniarki w białych czepkach zaprowadziły mnie do lekarza i umieściły w pokoju, gdzie już mieszkało pięć osób. Przeważnie wojskowi. Kobiety znajdowały się w innym pawilonie. Adaptowałem się łatwo, sumiennie chodziłem na zabiegi, każdą wolną chwilę wykorzystywałem, by uciec na plażę. Skąły, kamienie mokre lapy morza nieruchome słońce, szum fal pod głową, zdziwienie ciszą i odległością wojny. Na brzegu aleje cyprysów, muzeum Puszkina, winnice na stromych zboczach, koniki tatarskie z kozami winogron, perkalki letnich sukienek kobiet i zaskoczenie sobą. Wieczorem kino i potańcówki w domu kultury, na które nie chodziłem. Wolałem nocny chłód morza i księżyc uczepiony masy wody, srebrem pisany na uciekających do brzegu falach. Tamara siedziała obok i nie zdiwiała się, kiedy została moją przyjaciółką. Ustronne, dzikie plaże, wycieczki do Jalty i Ałubki, wspinaczka na Czatyrdah i polne kwiaty miodem nasyczone. Tamara ojca straciła w 1937 roku, utrzymywała się w Dietdomie w charakterze pielęgniarki. Wręczono jej „putiówkę” do Gurzufu w wyniku oceny komisji lekarskiej. Narzeczony był w wojsku. Nie miała od niego listów. Siedząc na stokach Czatyrdahu mówiliśmy o tragicznych pomyślach rewolucji i więzieniach po obu stronach granicy. Tamara nie potępiała władzy radzieckiej, skarżyła się na ludzi i wymyślony przez nich system, na atmosferę podejrzeń, nieufności, represji. Teoria „obłożonej twierdzy” do niej nie przemawiała, bo i w twierdzy można się albo nienawidzić i zabijać, albo żyć solidarnie. Solidarnie wobec siebie i wrogów. Wierzyła, że gdyby doszło do wojny, wszystko się zmieni, jeżeli wrócą ludzie. Jeżeli ludzie nie wrócą, wszystko zostanie tak samo. Obłoki grzęzły w skałach, przesurwały cień po słońcu, kochaliśmy się bez słowa, a gdy potem przynosiłem kwiaty, Tamara ciężko wzdychała. Odjeżdżając widziałem ją po raz ostatni na przełęczy Gurzufu. Machała do mnie ręką. Autobus utonął w pyłach szosy i zniknął za zakretem drogi. Objeżdżałem się. Wiatr znosił grzywy morza, po ścieżkach winnie dreptały osiołki i nie nie zapowiadało wojennej burzy, która w rok później nawiedziła Krym.

(Fragmenty wspomnień Włodzimierza Sokorskiego publikujemy za „Miesięcznikiem Literackim”, zeszyty 1, 2, 3 i 4 z 1984 r.).



rys. STEFAN RUSIN

„Wyzwolenie” na lubuskiej scenie

„Wyzwolenie” Wyspiańskiego powstało w 1902 roku i było odpowiedzią na dwie reakcje: reakcję na „Dziady” Mickiewicza, z których wywodzi się postać Konrada i reakcję społeczeństwa na premierę „Wesela”, która wywołała serię sporów na temat godnej postawy Polaka. Utwór, jak słusznie zauważył Jerzy Adamski, jest dramatem żywotnym. Dziełem dramatycznym, poetycko, myślowo arcyposłkim: tyleż romantycznym, co zapowiadającym antyromantyczną awangardę, tyleż zjadliwym i szyderczym wobec polskości, co gloryfikującym tę polskością jako wartość najwyższą.

Żywotność tę potwierdził dramat Wyspiańskiego ostatnio wystawiany w Teatrze Lubuskim im. Leona Kruczkowskiego w Zielonej Górze. Reżyser „Wyzwolenia” Bernard Ford Hanaoka skomponował widowisko teatralne, kontrowersyjne ze względu na przemieszczenia w tekście (np. I akt kończy się na początku II, rozdanie jednej roli kilku aktorom, wstawki innych utworów np. tekst o zgodzie, fragmenty „Wielkiej im prowizacji”, wprowadzenie kilkunastu nowych postaci: Kobieta Wyzwolona, Natchnienie, Złoty Młodzieniec, Anioł Biały, Anioł Czarny, co jest nie zawsze przejrzyste).

Pomimo historyczności kostiumów, nad całością sztuki powiewał duch współczesności. Reżyser sam był aranżerem przestrzeni scenicznej. W I akcie scena — prawie pusta. Po środku wisi tylko gong a na nim płaszcz Konrada. W momencie, kiedy główny bohater woła: „Strójcie mi, strójcie narodową scenę”, pojawiają się kostiumy, w które przebierają się aktorzy. Nie brak tu również rekwizytów-symboli, takich jak sztandary. W akcie II w głębi sceny ukazuje się podest, z wysokości, którego Maski atakują Konrada. W akcie III kał tędrę na Wawelu przedstawia krzyż. Końcówce zaś sceny odbywają się, podobnie jak w I akcie przy gongu. Na deskach teatru pojawia się „czern” (aktorzy ubrani w czarne kostiumy). Na wstępie występuje w tym przedstawieniu Aktorka I, która uswiadomiamy widzom, że kraj, który nas otacza — to Polska. Nadejście Konrada zapowiada Wróżka. Całość kompozycji reżysera zachowała główną myśl dramatu, która zawiera się w tragedii Konrada. Lecz Konrad nie zjawia się na scenie skuty kajdanami. Wchodzi po prostu zwyczajnie i namawia obecnych, aby wystąpili z czynem oraz burzyli przeszłość i budowali przyszłość. Oświadcza Muzie, że chce działać „czynem” i pragnie „wyzwolić”. W rozmowie z Reżyserem i Aktorami stwierdza, że jego dziełem będzie stworzenie teatru nowego, w któ-

rym chce „narod przedstawić”. W akcie II Konrad wygłasza Wielką Improwizację, a obok niego stoją Anioł Biały i Czarny, którzy symbolizują jego wewnętrzne walce. Następnie w dialektycznych zapasach z Maskami, reprezentującymi różne stanowiska współczesnej myśli polskiej, rozgrywa się walka istotnych zamierzeń bohatera przeciwko nawykowi tradycyjnemu. Jedynym ideałem dla którego Konrad gotów poddać się męce a nawet ponieść śmierć, jest Polska. W imię tej Polski należy przeprowadzić rewizję wszystkich haseł i oczyścić je ze wszelkiego fałszu i oszustwa narodowego. Trzeba zerwać z wszelkim oportunizmem, ugodnością, uległością, mesjanizmem, mistycyzmem, romantyzmem. Zerwać z kultem przeszłości a kształtować życie teraźniejszości i przyszłości w oparciu o wyłoniony mimo zabórów rząd narodowy. „Naród ma być nie prawca być jako Państwo”. Konrad (Hilary Kurpanik) z bezwzględnością atakuje Maski: „Warcholy to wy! — Wy, co liżecie obcych rąk podłóż, czołgacie się u obcych rąk i czołgacie najeżdżcie łapy, uznając w nich prawowitych wam królów”. W akcie III Konrad przygotowany do walki, gloszący duchowemu wództwu Geniusza, przeklina hasła śmierci wyzwoleńczej, a w miejscu ich zapowiada radość i wesele, i głosi zwycięstwo. Widzi źródła zła w poezji — przeklina ją jako „tyrana dusz”. Niestety, w starciu z Geniuszem zgasił pochodnię, którą miał rozplamić Polskę do działania. Roztrwonil swoje powoła nie na dyskusję z samym sobą i na tandetę teatralną. Na koniec poznaje swoją pomyłkę. Zrozumiał, że jest omotyany czarem sztuki i niezdolny do czynu. Nieco ze zdziwieniem i gorczą zauważa Konrad, że „sam już na wielkiej pustej scenie”, że jego czyn był tylko pozorny. Trwał tak długo jak przedstawienie. Hilary Kurpanik zagrał swoją rolę dobrze. W I akcie nieco z dystansem i proiekcją wewnętrzną, w II akcie przekonuje nas, że istotnie walczy z Maskami (choć przykuty do sceny sznurami). W końcu aktu III udziela nam się jego rozczarowanie.

Na obraz codziennosci Polski, obok Konrada, składa się szereg grup i postaci, charakterystycznych dla ówczesnego duchowego stanu narodu. Wyowiada jące swoje poglądy na sprawę polską, sprzecznych z sądami głównego bohatera i tkwiących głęboko w przeszłości. Są więc przedstawiciele szlachty, jak za czasów pańszczyźnianych gardzącej chłodem, skarżące się na upadek ekonomiczny. Oczekujący kogoś, kto przyjdzie i „wyzwoli” a tym samym umożliwi powrót do dawnych przywilejów i dawnych wad, są ugodowcy, bezwolnie podający się losowi, oczekujący czegoś od przyszłości, ale nie wymawiający wyrazu „Polska” (Prezes: „Pamiętajmy jeno nie wymawiać słowa „Polska”), jest klub krzykaczy mieszczańskich pokrywający „pustkę myśli i uczuć wrzaskiem: „Polska”, „Polska”. Znalazł się i rzecznik wszechmiłości i tajemniczy „Samotnik”, rozważający samego siebie jako opatrnościowego męża „czterdziści cztery” zapowiedzianego w „Dziadach”. Jest również Harfiarka — symbol poezji współczesnej ze swoją pustką ideologiczną. Brakuje w przedstawieniu postaci Prymasa wraz z jego po gładami. Niezdolni do czynu, ludzie ci wierzą i oczekują kogoś, kto nadejdzie, kto się zjawi, kogoś zapowiedzianego i znanego z marzeń o wolności i potęgze. On weźmie ciężar wyzwolenia na swoje barki. W przyszłe wyzwolenie wierzy nie tylko Wyspiański, ale i reżyser spektaklu, który w jego zakończeniu nie poddaje głównego bohatera torturom Eryni, lecz przepowiada optymistycznie, że przyjdzie „może wyrob-

nik, dziewczka bosa... w naród wołając: Więzy ruji!!!”.

O zespole Lubuskiego Teatru można powiedzieć, że wywiązały się ze swego, za dania dość dobrze. Na uwagę zasługują: Muza (Joanna Dobrzańska) która kreowała swą rolę uwodzieńską i poetycką, para Karmazyn (Piotr Lauks) i Holysz (Zdzisław Grudzień), którzy przywoływali nam postacie sarmackich szlachciców, Kaznodzieja (Ferdynand Załuski), Wróżka oraz stary Aktor (Józef Michalewicz), który tekst podał z dużym przekonaniem. Oceniając poszczególne sceny przedstawienia warto dodać, że uda ny był spór Konrada z Maskami (jest ich w spektaklu 13 a nie 22). Osaczony przez nie ze wszystkich stron Konrad toczył bój o swoje ideały, a inni podrywali z niego pijak alkohol i palące papierosy. Przywoływało to jakby sceny z jakiegoś klubu lub lokalu, być może współczesnych Wyspiańskiemu dyskutantów. Niezła okazała się też końcowa scena, kiedy Konrad wygłasza swój monolog o samotności oraz zapowiedź jednej z aktorek szczęśliwej przyszłości. Natomiast niejasno i mgliście przedstawiony został obraz „Świętej Rodziny” oraz postać Hostii. Za

to zupełnie ładnie wypadł fragment o polskich kobietach, wiążących się z cudzoziemcami, których potomstwo jest obojętne na sprawy Polski.

Po przedstawieniu, mimo wszystko, rodzi się pytanie: kiedy zobaczymy „Wyzwolenie” takie, jakim napisał je Stanisław Wyspiański?

ANNA DZIECHCIARÓW

Teatr Lubuski im. L. Kruczkowskiego w Zielonej Górze

Prapremiera 19 grudnia 1985 r.

Reżyser i aranżer przestrzeni scenicznej — Bernard Ford Hanaoka

Choreografia — Barbara Bernacka

Kostiumy — Elżbieta Wernio

Muzyka — Czesław Niemen

Obsada:

Aktorka I — Danuta Ambroz, Aktorka II — Danuta Snella, Aktor I — Józef Michalewicz, Aktor II — Waldemar Trębacz, Suflerka — Janina Rajewicz, Wróżka — Barbara Lauks, Konrad — Hilary Kurpanik, Reżyser — Ferdynand Załuski, Muza — Joanna Dobrzańska, Karmazyn — Piotr Lauks, Holysz — Zdzisław Grudzień, Przodownica — Janina Bulawianka, Przodownik — Je-

rzy Kureczuk, Prezes — Mariusz Szafarz, Kaznodzieja — Ferdynand Załuski, Samotnik — Tadeusz Bartkowiak, Natchnienie — Sigrid Siewor, Złoty Młodzieniec — S. Kulikowski, Harfiarka

— Barbara Lauks, Mówca — Bogdan Warchol, Kobieta Wyzwolona — Danuta Snella, Maski I — Bogdan Warchol, Maski II — Ewa Rączy, Maski III — S. Kulikowski, Maski IV — Ferdynand Załuski, Maski V — Tadeusz Bartkowiak, Maski VI — Jerzy Kureczuk, Maski VII — Sigrid Siewor, Maski VIII — Karolina Józwiak, Maski IX — Mariusz Szafarz, Maski X — Zdzisław Grudzień, Maski XI — Piotr Lauks, Maski XII — Barbara Lauks, Maski XIII — Halina Fecko, Polonia I — Janina Dobrzańska, Polonia II — Halina Fecko, Polonia III — Barbara Lauks, Geniusz, Aktor — Tadeusz Bartkowiak, Anioł Biały — Anna Janik, Anioł Czarny — Waldemar Trębacz.

Orszak Polonii

Emilia Plater, Królowa Jadwiga, Stańczyk, Kazimierz Wielki, Skarga, Sybinek, Podchorąży, Kosynier, Na instrumentach perkusyjnych grał Marek Kucharczyk.

Od lewej: Hilary Kurpanik — Konrad, Joanna Dobrzańska — Muza i Ferdynand Załuski — Kaznodzieja. Fot.: TADEUSZ AMBROZ



MŁODZI

Obraz literatury polskiej, jaki wyłania się z dyskusji, artykułów i literackich spotkań jest coraz bardziej przynębiający. Przyczyną jest wiele. Można mówić o szczególnie trudnej sytuacji społecznej pisarzy, o złym stanie poligrafii, braku papieru, które sprawiają, że na książkę czeka się bardzo długo. Do tego jeszcze dochodzą głębokie podziały wewnątrz środowiska literackiego. Nie jest dzisiaj łatwo uprawiać pisarski zawód. A przecież wiemy, że we wszelkich sytuacjach kryzysowych najczęściej jest właśnie młodym, którzy (zwłaszcza debiutanci) mają zawsze u wydawcy mniej szans niż pisarze starsi. Nie jest powszechną świadomością, iż rodzącej się literaturze potrzebny jest wysiłek dostrzeżenia w niej wartości na przyszłość, że ważne jest stworzenie możliwości dyskusji, możliwości publikacji, ukształtowania wielorakich indywidualności.

Seminarium literackie „O sztukę czasu, w którym żyjemy”, które odbyło się na początku grudnia ubr. w Białobrzegach k. Warszawy, stanowiło próbę przyjrzenia się tym wszystkim problemom. To znaczy: było okazją do refleksji nad tym, co dzieje się w literaturze młodej. Po Zjeździe Kół Młodych jesienią 1981 roku w Poznaniu,

było to pierwsze tego typu spotkanie młodych pisarzy z różnych stron Polski. Organizatorem (Młodzieżowej Agencji Wydawniczej i „Nowemu Medykowi”) przyświecał jeden cel: doprowadzić do spotkania twórców tzw. „nowych roczników” jak i tych, którzy wchodzą w życie literackie lat osiemdziesiątych. Dla tej formacji młodych pisarzy ukuwa się powoli termin „No we Pokolenie” (?).

Jerzy Koperski na otwarciu Seminarium przyznał, że przecież w tej po wszechnej niechęci rozmawiania ze sobą, nie można było mieć pewności, czy w ogóle ludzie zechcą przyjechać, czy w rezultacie dojdzie do spotkania. A jeśli doszło jednak, to jest to już pewien pozytywny znak. Nie można było wyznaczyć sobie wysokich celów. Na początek, bo takie imprezy są potrzebne i powinny być kontynuowane, za istotne trzeba uznać, że po latach pustych, to spotkanie zapewne otwiera coś, co prędzej czy później, winno być otwarte. Chodzi o to, aby literatura młodych próbowała wyjść z zastoi, bierności, pasywności i nudy, aby takie spotkanie, jak to w Białobrzegach, jak pięknie określił obecny tam Zbigniew Jerzyński — „Stanowiło opór przeciw szarzyźnie i poruszyło umysły”.

W pierwszym dniu zostały przedstawione dwa referaty: Andrzeja Waśkiewicza i Marka Graszewicza. Waśkiewicz w referacie „Poezja pierwszej dekady lat 80-tych” wskazał na fakt wielorakiego rozwarstwienia powstającej literatury. W takiej sytuacji wartości literackie jawią się w wysokim stopniu relatywnie, nie układają się w hierarchiczną konstrukcję. Według Waśkiewicza, tej wielości zjawisk i sytuacji literackich nie towarzyszy wykształcenie się nowej jakości. Mamy do czynienia z ruchem pozornym, przy złudzeniu jego bogactwa. Generalnie po roku osiemdziesiątym nie pojawiły się nowe tendencje, mieliśmy do czynienia ze stagnacją życia literackiego. Do braku zaufania do oficjalnych instytucji doszedł brak wewnętrznej hierarchii wartości.

Podobnie rzecz ujmował Marek Graszewicz w wystąpieniu „Los poety w czasie wielkich przemian”. Wskazywał słusznie, że w polityce kulturalnej nie można dostrzec imperatywu kreacji życia artystycznego. W młodej literaturze od kilku lat, nawet kilkunastu, mamy do czynienia z zastojem. Literatura ta żyje w świecie pozorów, braku dyskusji, braku idei, jest wtórną w system ograniczających ją różnego typu zależności. Według Graszewicza, rozwiązaniem byłaby awangardowość myślenia. Na to się jednak obecnie nie ma. Również z tego względu, że młoda literatura nie ma własnych instytucji, a także zaplecza społecznego. Ponadto, jak w dyskusji wykazywał Janusz Kryszak, poezja awangardowa posiadała fundament — zmysł rzeczywistości. Teraz wszyscy utraciliśmy ten zmysł. Ponadto — kontynuował Graszewicz — od połowy lat siedemdziesiątych odbiorcami poezji są sami poeci.

Referaty te wywołały bardzo ożywo ną dyskusję. Szczególnie interesujące były głosy Zbigniewa Irzyka, J. Kryszaka, Z. Jerzyny i innych. Stwierdzono, że nowa poezja lat osiemdziesiątych jest bardzo uboga duchowo i artystycznie. Jest to poezja dwóch, trzech schematów. Dzisiaj poeci nie potrafili wypowiadać swoich racji w eseju lub artykule krytycznym. Pograżają się we własnej prywatności. Dzisiaj poezja nie rodzi się w walce o idee. A przecież literatury nie można uprawiać, jak mówił Z. Irzyk, „łyżeczką do kawy”.

Na ten stan wpływ ma również brak krytyki towarzyszącej, walczącej o pokoleniową świadomość, stawiającej na pewnych poetów, towarzyszącej im we wszystkich dobrych i złych doświadczeniach od momentu debiutu. Ale zarazem dzisiaj, jak rzadko kiedy, mamy do czynienia z brakiem „ciśnienia talentu”. Poeta ma się narzucać, usuwać się w cień. Mówiono też o braku pism literackich, o niebezpieczeństwach podpięcia w publicystyczny schemat.

Następnego dnia wystąpili z referatami: Marian Kisiel i Robert Gawłowski, będący reprezentantami młodszego zdecydowanie pokolenia. Tytuł tekstu Kisiel brzmiał: „Anemicy, flegmaty i poezja”. Doświadczenie artystyczne najmłodszej poezji polskiej. Autor mówił o dylematach moralnych i psychicznych, związanych z uczestnictwem w życiu literackim. Ponadto, we dzie Kisiel dzisiaj mamy do czynienia z pokoleniem, które istnieje inaczej niż to tradycyjnie wyglądało. Dzisiaj młodzi nie chcą być uznawani za pokolenie. Cechuje ich niechęć do zbiorowych dyskusji i deklaracji czy instytucjonalnej wspólnoty. Dlatego też jest to „pokolenie” bardzo słabe, niezdolne do wykonania pracy intelektualnej. Nie

potrafiały wykreować własnej wizji, cechuje ich brak autentycznych doświadczeń, skłonność do pozorów dyskusji. Cenna w wystąpieniu Kisiel była krytyczność wobec dokonanych rówieśników. Jak to się jednak stało, że przed stawiciel „pokolenia” nie potrafił dostrzec u rówieśników jakichś elementów pozytywnych? Natomiast w referacie Roberta Gawłowskiego z Wrocławia, zatytułowanym „W przestrzeni nie wiadomego”, na uwagę mogła zasługiwać szczególnie próba nakreślenia programu „poezji poznającej”, która była by w stanie ocalić świadomość współczesnego pisarza przed destrukcją. Byłaby to poezja diagnozująca życie zbiorowości, ale i zwrócona w stronę życia jednostkowego. Byłaby to poezja nacechowana duchową aktywnością, poezja odrzucająca dogmat. Miałaby walor ściśle literacki, o co tak walczyli poeci „nowej prywatności”, ale także wni kałaby w procesy społeczne.

W rezultacie można rzec, że to dwudniowe spotkanie poetów, połączone z wieczorami zbiorowymi w Staromiejskim Domu Kultury w Warszawie było interesujące nie ze względu na ilościowe oceny, wnioski i przewartościowania, jakie się podczas imprezy dokonywały, ale raczej ze względu na wielkość pytań, sądów, wątpliwości i prze myślenia, uwag i propozycji, jakie zostały zgłoszone pod adresem młodej literatury, życia literackiego, społecznego statusu pisarza i wreszcie możliwości publikacji. Ponadto okazało się, że Młodzieżowa Agencja Wydawnicza, potrafi z dobrym skutkiem inicjować różne zjawiska literackie, skupiać wokół siebie pisarzy młodego pokolenia, tworzyć klimat do literackich dyskusji.

CZESŁAW SOBKOWIAK

Prasa w klubach „Prasy”

Nie wszyscy wiedzą, że kluby prasy i książki RSW zaopatrywane są w specjalne zestawy prasy przeznaczonej dla czytelników. Do września 1981 roku czytelnicy klubowe otrzymywali tylko 8 tytułów. Ten zawężony wachlarz tytułów okazał się za mały w stosunku do potrzeb i zainteresowań poszczególnych środowisk, a przede wszystkim młodzieży korzystającej z klubowych kącików czytelniczych. W 1981 r. decyzją Zarządu Głównego i Rady RSW, zestaw prasowy został znacznie rozszerzony i po ostatecznych przyśpieszeniach ustalono: 27 tytułów dla klubów wiejskich oraz 19 dla placówek zlokalizowanych w miastach i jednostkach wojskowych.

Taki poszerzony serwis stwarza większe możliwości wyboru i ułatwia czytelnikowi dotarcie do interesujących go zagadnień. W zestawie bowiem znajdują się wszystkie tytuły prezentujące poszczególne dziedziny życia naszego kraju, jak np.: „Trybuna Ludu”, „Sztandar Młodych”, „Chłopska Droga”, „Dziennik Ludowy”, „Zielony Sztandar”, „Świat Młodych”, „Argumenty”, „Nowe Czasy”, „Kraj Rad”, „Zarzewie”, „Tygodnik Kulturalny”, „Płon”, „Przegląd”, „Nowa Wies”, „Razem”, i wiele innych. Nie zapomniano też o najmłodszych czytelnikach, którzy mają do wglądu „Świerszczyk” i „Plomyczek”. Z pism regionalnych czytelnicy posiadają „Gazetę Lubuską” i „Nadodrzie”.

Podobny, chociaż nieco mniejszy, jest zestaw tytułów, które otrzymują kluby w miastach i w wojsku, nie ma w nich po prostu pism zajmujących się tematyką wiejską i rolniczą oraz niektórych innych, które są mniej poczytne w tych środowiskach.

Jak więc widać, kluby RSW oferują obecnie swoim stałym bywalcom spory serwis prasowy. Ale zwiększenie tego serwisu pociągnęło za sobą konieczność zmiany środków ekspozycyjnych prasy, albowiem kluby nie posiadają dodatkowych pomieszczeń, które byłoby można

przeznaczyć na utworzenie wyodrębnionych czytelni. Dotychczasowe urządzenia ekspozycyjne nie zdały egzaminu w nowej sytuacji. Kiedyś, gdy było tylko 8 tytułów, wystarczył wieszak prasowy, bądź niewielka gablotka, teraz to już nie wystarczyło, by dzienniki i czasopisma stały się dostępne dla wszystkich. W zielonogórskim przedsięwzięciu opracowano wzór specjalnego regału prasowego, który wykonał Zakład Produkcji ZDZ w Zielonej Górze.

Regał złożony z części służącej do wykładania świeżej prasy przeznaczonej do czytania oraz z części przeznaczonej do przechowywania: wycinków prasowych, ilustracji, zsywek itp., wyposażony jest także w tablicę służącą do propagowania czytelnictwa. Z urządzenia tego skorzystały także inne przedsiębiorstwa w kraju.

Wprowadzenie nowego typu regału prasowego ułatwiło gospodarzom klubów tworzenie kącików czytelniczych, które zresztą nie stanowiły w tych placówkach żadnej nowości, ale przez zgromadzenie całej prasy w jednym miejscu, przeważnie połączonym z punktem bibliotecznym — jeżeli taki istnieje —

stworzyło estetyczną całość. Oczywiście, tak jest w tych placówkach, gdzie gospodynie dbają o ład i estetykę jak np. w: Grabowcu, Sucheju, Piaskach, Niwiskach, Łagowie k/Krosna, Bukowie, Chwaliszewicach, Chotkowie, Bukowinie Bobrz, Lasocinie i w wielu innych. Tam, gdzie gospodynie nie dbają o to, a widziałem i takie kluby, prasa leży porozrzucana po stolikach i ładach sprzedażnych — nie wygląda to elegancko, a i o pełnym wykorzystaniu jej

przez czytelników można mieć sporo wątpliwości.

Różne są formy i sposoby upowszechniania czytelnictwa w klubach. Poza wizualnymi do dość często spotykanych należą różnego rodzaju turnieje prasoznawcze, zgaduj-zgadule oparte na wiadomościach zaczerpniętych z prasy przeważnie z jednego, bądź kilku określonych tytułów pism, spotkania z dziennikarzami itp. Każda taka impreza w pewnym sensie zachęca do czytania, ale na pewno nie jest to recepta na radykalną poprawę i, umiarkowanie, jakie chciałoby się osiągnąć poprzez zaopatrywanie w prasę klubowych kącików czytelniczych.

Może byłoby lepiej, gdyby nie istniały sztywne zestawy tytułów zalecane ogólnie, a nadział prasy odbywałby się na podstawie zapotrzebowania samych placówek? Trudno przesądzić. Jedno jest pewne, że w różnych środowiskach są różne zapotrzebowania. W jednym poszukuje się informacji politycznych, w innych ekonomicznych, sportowych, społecznych, kulturalnych itp. Nie stanowi to wszakże reguły, są przecież ludzie, których potrzeby intelektualne zaspokaja dopiero suma różnych informacji i tam należałoby bezwzględnie kierować pewny zestaw tytułów. Ale są też takie kluby, działające przede wszystkim w bardzo małych środowiskach, dla których nawet ta ilość tytułów dzienników i czasopism, które otrzymują obecnie, jest za duża, a przecież wiąże się to z ogromnymi kosztami.

To prawda, że wiele gospodyń i nie które społeczne rady klubów prowadzą różnego rodzaju łeczki, zsywek, wycinki prasowe, które są wykorzystywane do najprzeróżniejszych celów i potrzeb. Dobrze i to, chociaż chciałoby się, aby prasa była źródłem wszechstronnej wiedzy i informacji, i aby była czytana przez tych, dla których została przeznaczona.

ZENON CZARNECKI

czowi, że na polemikę z moim jednym zdaniem zużył tyle papieru, ile ja na omówienie całej kozuchowskiej imprezy.

A przecież nawet z listu Markiewicza wynika, że moje jedno zdanko, które tak Markiewicza do głębi poruszyło zostało niemal identycznie przez niego wypowiedziane. A skoro zostało przez referenta wypowiedziane, to czy nie miałem prawa na nie się powołać? W końcu był to istotny sąd o prozie omawiającego autora. Och, już wyobrażam sobie, co by się w Markiewiczu działo, gdybym jeszcze w tym skrótownym omówieniu napomknął, co myślę o takim wartościowaniu prozy. Nie było i nie jest to moim zamiarem.

Oczywiście chciałoby się poważnie podyskutować, nawet o tej prozie lubuskiej, ale jak tu dyskutować, gdy nawet cień innego sądu zostaje zmieszany z błotem. A ponadto współczuję Markiewiczowi, że musi uciekać się w kilku zdaniach „listu” to do Gombrowicza, to do Sandaiera. Tak jakby nie był w stanie sam wyłożyć włas-

nych argumentów. A skoro już jesteśmy przy modnym dziś Gombrowiczu, to trzeba zauważyć, że ów Miętuś z „Ferdynandem”, z którym był iaskaw Markiewicz w jakichś sensie, na użytek swego listu, utożsamia się, to jest naprawdę młody kilkunastoletni, sympatyczny chłopak, potrafiący świetnie grać minami. Markiewicz, nie wypominając mu, mógłby być co najwyżej jego starszym wujem. A tak walczy Markiewicz z „Gębą”. Przyprowadza ją sobie samemu. Markiewicz dobrze zaczął. Zawolał: „zgolić tę „gębę”. Teraz, choć droga od słowa do czynu jest często nie do przebycia, powinien udowodnić, że potrafi sam na siebie tego dokonać. Trzymam kciuki. Może się Markiewiczowi uda...

Z koleżeńskim pozdrowieniem
CZESŁAW SOBKOWIAK

Od red. Na tym kończymy polemikę na temat tekstu Cz. Sobkowiaka omawiającego „Dzień literatury lubuskiej” w Kozuchowie.

Równocześnie laureaci pierwszych nagród w obu dziedzinach otrzymują Laur Miedzianego Amora. Przewidywane są również nagrody pozaregulaminowe. Jury ma prawo do innego podziału nagród, biorąc pod uwagę poziom konkursu. Prace opatrzone godłem, winny być nadesłane do 15 marca 1986 r. W osobnej kopercie dołączono do zestawu, także opatrzonej tym samym godłem, należy podać nazwisko i imię autora oraz dokładny adres. Prace nadsyłać: Klub Międzynarodowej Prasy i Książki 59-300 Lubin woj. legnickiej, Plac Wolności 9, z dopiskiem na kopercie: „prace konkursowe”. Ogłoszenie wyników nastąpi w czasie Lubuskich Spotkań z Literaturą Miłosną, w maju 1986 r. Skład jury zostanie podany do publicznej wiadomości.

Nowa administracja zapowiada, że jej troską będzie emitowanie znaczków o wysokich walorach zarówno technicznych jak i kulturowych. Przeważać będą znaczki popularyzujące piękno krajoznawcze Aruby. Nominaty będą opowiadały potrzebom usług pocztowych, a ilość znaczków dobroczynnych (z dopłatą) nie powinna w roku wynosić więcej niż dwie serie. Wraz ze znaczkami będą wydawane urzędowe koperty pierwszego dnia obiegu.

Dla potrzeb zbieraczy zorganizowano specjalną służbę pocztową w stolicy wyspy Oranjestad. Będzie ona systematycznie informować filatelistów o nowościach, a także o warunkach abonowania zarówno znaczków jak i kopert pierwszego dnia obiegu.

M. SŁAWOMIR

Zdaniem dziennikarzy Polskiej Agencji Prasowej do najważniejszych wydarzeń kulturalnych roku 1985 zaliczyć należy: dokonanie przez Wojciecha Ryszarda Rzepkę i Wiesława Wydrę wyboru zabytków językowych „Chrestomatia staropolska. Teksty do roku 1543” (Ossolineum), trzecie miejsce wrocławianina Krzysztofa Jabłońskiego w XI Międzynarodowym Konkursie Pianistycznym im. Fryderyka Chopina, jubileuszowe edycje krajowych i międzynarodowych imprez: Festiwalu Chopinowskiego w Duszniakach Zdroju (40 lat) i „Wratislavia Cantans” (20 lat), obchody 40-lecia kinematografii będące okazją przypomnienia dorobku sztuki filmowej w Polsce Ludowej, uroczystości po 45 latach przerwy Panoramy Racławickiej we Wrocławiu, wejście w życie ustawy o instytucjach artystycznych, opracowanie i przyjęcie przez Narodową Radę Kultury raportu o stanie kultury polskiej.

SZCZECIN. Tradycje regionalnego ruchu kulturalnego na Pomorzu Szczecińskim sięgają połowy lat pięćdziesiątych, kiedy powstały towarzystwa — Miłośni-

ków Ziemi Nowogardzkiej oraz Miłośników Ziemi Kamieńskiej. W 1966 zawiązało się Szczecińskie Towarzystwo Kultury, będące federacją poszczególnych organizacji regionalnych. Sformułowany wówczas program działania ruchu społecznego jest aktualny nadal. Również obecnie zadaniem tego ruchu jest aktywizacja kulturalna społeczeństwa i pobudzanie jego zainteresowań, rozwój działalności wydawniczej, udział w programowaniu rozwoju kultury regionu oraz działalność na rzecz poszczególnych środowisk twórczych. Obecnie w województwie szczecińskim istnieje 27 towarzystw regionalnych, z których 16 powstało w ciągu ostatnich czterech lat. Przed dwoma laty z inicjatywy Stargardzkiego Towarzystwa Kultury wydana została teka grafiki „Zabytki Stargardu”, a z inicjatywy Towarzystwa Przyjaciół Szczecina podobne wydawnictwo „Szczecin”. W roku 40-lecia powrotu Pomorza Zachodniego do Macierzy zorganizowano wiele sesji, wystaw i konkursów na wspomnienia. Tylko jeden konkurs pt. „Moja Ziemia” przeznaczony dla młodzieży przyniósł plon w postaci 344 monografii rodzin, szkół, organizacji społecznych, wspomnień i pamiętników. Organizowany od 16 lat przez Szczecińskie Towarzystwo Kultury konkurs pn. „Dzieje szczecińskich rodzin w XX wieku” zaoferował około 700 pamiętnikami, z których część ukazała się w wydaniu książkowym.

GORZÓW. Zakłady Włókien Chemicznych „Stilon” od dawna są cenionym mecenasem życia kulturalnego Gorzowa. W Zakładowym Domu Kultury „Chemic” istnieje wiele sekcji, ostatnio powołano klub komputerowy. Tu także ma siedzibę Robotnicze Stowarzyszenie Twórców Kultury. W muzeum zakładowym organizowane są wystawy plastyki, fotografii, nowości technicznych. „Stilon” jest też współorganizatorem kilku dużych imprez kulturalnych: ogólnopolskich Konfrontacji Fotograficznych, Pleneru Tkackiego „Art-Stilon”, Ogólnopolskiego Konkursu Tańca o „Złotą kaselę”. Przed kilku laty ZWCh „Stilon” przekazały miastu budynec, w którym obecnie mieści się gorzowskie Biuro Wystaw Artystycznych.

ZIELONA GÓRA. W planie wydawniczym Lubuskiego Towarzystwa Kultury na rok 1985 znajdowało się wiele cennych pozycji, niestety, niektóre nie ukazały się w terminie. Do wartościowych, które jeszcze znajdują się w księgarniach gorzowskich i zielonogórskich należą praca zbiorowa „Zbyszyn”, Władysława Korczy „Szkice z dziejów miast środkowego Nadodrza”, praca zbiorowa „Przemiany. Perspektywy”, wspomnienia Edwarda Czernika „Przekroczyłem siebie” i Mieczysława Turskiego „Początki początków”. Na rok 1986 LTK zapowiada wydanie m.in. opowieści z dziejów Ziemi Lubuskiej Piotra J. Majchrzaka, szkiców historycznych Włodzimierza Kwaśniewicza, 5 tomików poetyckich, 4 zbiorów opowiadań. W przygotowaniu znajduje się wiele książek z dziejów Ziemi Lubuskiej.

WROCŁAW. Najstarsze polskie wydawnictwo Ossolineum w tym roku wyda 50-milionowy egzemplarz książki. Od kilku lat edytor wrocławski każdego roku wydaje ponad 400 tytułów książek i czasopism w nakładzie ponad 4 mln egzemplarzy. Zdecydowaną większość tytułów stanowią publikacje Polskiej Akademii Nauk, m.in. wydawnictwa ciągłe, słowniki, atlasy, monografie, tomy „Biblioteki Narodowej”, bibliografie i biografie sławnych ludzi. W roku ubiegłym zespół autorsko-redakcyjny „Listów” Kazimierza Kelles-Krauzy otrzymał nagrodę II stopnia w konkursie „Trybuna Ludu”. W roku 1986 Ossolineum zamierza wydać ponad 450 tytułów w nakładzie sięgającym 5 mln egzemplarzy. Ukazą się m.in. atlasy języka i kultury wielkopolskiej, gwar mazowieckich i gwar bojkowskich, słowniki, w tym polszczyzny z XVI wieku. Ossolineum wyda 3 pierwsze tomy dzieł wybranych prof. Henryka Jabłońskiego, ponadto historie Włoch, Austrii, Rumunii, Indii. Wznowiona zostanie praca M. Rzepińskiej „Siedem wieków malarstwa europejskiego”.

Po 38 latach znowu w Polsce odbywa się Kongres Intelktualistów w Obronie Pokoju. Przypominamy, że w sierpniu 1948 r. Wrocław był miejscem spotkania ludzi nauki i kultury z całego świata. Wśród 500 delegatów i 200 obserwatorów byli tak wielcy twórcy jak: Pablo Picasso, Jean-Paul Sartre, Paul Eluard, Roger Vailand, Michail Szolochow, Ilja Erenburg, Anna Seghers, Jan Drda, Jorge Amado, Ivo Andrić, a także Polacy: Zofia Nałkowska, Maria Dąbrowska, Jarosław Iwaszkiewicz, Władysław Broniewski, Julian Tuwim, Antoni Słonimski, Grzegorz Fitelberg. Z kongresowej trybuny rozległy się pamiętne słowa: „Niepokój o świat cały i jego losy przyprowadził nas tutaj. Niepokój o nasze domy, miasta, rzeczy, sprawy. Niepokój o naszą kulturę”.

WAŁBRZYCH. Pierwsze polskie biblioteki w Wałbrzyskiem zaczęły powstawać jeszcze przed uchwaleniem przez Krajową Radę Narodową Dekretu o Bibliotekach (17 sierpnia 1946 r.). W 1945 r. utworzono biblioteki w Kłodzku i Wałbrzychu. W latach 1950-51 rozpoczęły działalność pierwsze w Polsce Koła Przyjaciół Bibliotek. Obecnie w województwie wałbrzyskim istnieje blisko 200 bibliotek i ich filii wyposażonych w ponad 3 mln woluminów, z których korzysta regularnie około 170 tys. osób. Niektóre z nich podejmują różnorodne inicjatywy, np. biblioteka w Dzierżoniowie organizuje „Dzierżoniowskie Dni Literatury” oraz „Spotkania z poezją K.K. Baczyńskiego”.

BRZÓWIEC. Nieprzerwanie od 40 lat działa amatorski zespół teatralny „Alarm”. Teatr założył wraz z grupą osadników z dawnych terenów wschodnich Józef Gacek. W ciągu minionych 40 lat teatr z Brzozowca wystawił 19 sztuk autorów polskich i obcych. Z myślą o swoim teatrze wieś zbudowała w czynnie społecznym okazałą salę widowiskową. Z okazji jubileuszu „Alarmu” list gratulacyjny do zespołu wystosował minister Kultury i Sztuki.

nadodrzie

DWUTYGODNIE, SPÓŁCZENO-KULTURALNY
ORGAN LUBUSKIEGO TOWARZYSTWA KULTURY

ADRES REDAKCJI: 65-061 Zielona Góra, pl. Bohaterów Stalingradu 13 i p. oraz adres dla korespondencji: 65-068 Zielona Góra, skrytka pocztowa nr 40. Telefon: redaktor naczelny i sekretariat: 708-35, sekretarz redakcji: 39-13 oraz centrala: 46-61 do 7. Łączny telefon wewnętrzny Telex: 043-2253. REDAGUJE ZESPÓŁ: Halina Aniska-Skarbek, Lucyna Grabowska, Leszek Hermanowicz (red. graf. techn.) Michał Horowicz, Janusz Kontusz (red. naczelny) Zenon Łukaszewicz (z-ca red. naczelny) Wiesław Nodzyński (sekretarz red.) Piotr Piotrowski (stażysta) Ryszard Rowiński, Alfred Siatecki. KO-

REKTA: Maria Fiedorowicz, Elżbieta Nesterow, sekretariat redakcji: Elżbieta Walenka. WYDAWCA: RSW „Prasa Książka-Ruch” — Zielonogórskie Wydawnictwo Prasowe, al. Niepodległości 25, 65-042 Zielona Góra, skrytka pocztowa 51. Centrala telefoniczna: 46-61 do 67. Dyrektor: Zbigniew Pietkiewicz, tel. 71-795. DRUK: Drukarnia Prasowa ZWP, 65-077 Zielona Góra, ul. Reja 5. OGŁOSZENIA PRZYMUSOWE: Biuro Reklam i Ogłoszeń Zielonogórskiego Wydawnictwa Prasowego RSW „Prasa-Książka-Ruch” 65-042 Zielona Góra, al. Niepodległości 25 oraz wszystkie biura ogłoszeń RSW „Prasa-Książka-Ruch” na terenie całego kraju. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Materiałów (tekstów i fotografii) nie zamówionych redakcja nie zwraca. W przypadku wykorzystania nie zamówionych materiałów redakcja zastrzega sobie prawo skróć i zmian tytułów.

I-21 Zam. 1446



Współczuję Markiewiczowi

Markiewicz „dziennikarzy” (używając jego określenia) etatowo. Mimo że sztukę słowa powinien mieć opanowaną skutecznie niż np. przeciętny odbiorca audycji radiowych, to nie potrafi uniknąć publicznego samoodmieszenia się. Wystarczy tylko coś przerysować, nie przyłożyć właściwej miary a już tekst brzmi humorystycznie. Przykładem tego jest jego, pełen zacietrzewienia i chaosu, list drukowany w „Nadodrze” (Nr 1) (86). Przeczytałem, muszę przyznać, ten gniewny list Markiewicza jednak z politowaniem i zażenowaniem. Współczuję referentowi — Markiewi-

LAUR MIEDZIANEGO AMORA

KONKURS: na wiersz i opowiadanie o miłości.

Klub Międzynarodowej Prasy i Książki w Lubinie, Towarzystwo Miłośników Ziemi Lubuskiej oraz redakcja tygodnika „Polska Miedź” w Lubinie ogłaszają konkurs na wiersz i opowiadanie (nowele) o tematyce miłosnej.

Organizatorzy zapraszają do udziału w konkursie poetów i nowelistów wszystkich pokoleń. Należy nadesłać: a) w dziedzinie poezji — zestaw 3 wierszy w 5 egz. jeden zestaw nie może przekroczyć 6 stron maszynopisu, b) w dziedzinie prozy — nowelę, opowiadanie w 5 egz. nie może przekraczać 15 stron maszynopisu. Wiersze ani proza nie mogą do czasu ogłoszenia wyników konkursu być

publikowane w całości ani we fragmentach. Pierwszeństwo publikacji nagrodzonych prac zastrzegają sobie organizatorzy. Przewiduje się następujące nagrody:

w dziedzinie poezji:

- I — 12 tys. zł
- II — 9 tys. zł
- III — 7 tys. zł

oraz 3 wyróżnienia po 5 tys. zł.

w dziedzinie prozy:

- I — 15 tys. zł
- II — 12 tys. zł
- III — 9 tys. zł

oraz 3 wyróżnienia po 5 tys. zł.



Aruba

Na światowej mapie emitentów znaczków pocztowych 1 stycznia 1986 r. pojawiła się nowa administracja pocztowa.

Aruba, wyspa na Morzu Karaibskim w pobliżu wybrzeży Wenezueli, o powierzchni 193 km kw. zamieszkała jest przez ponad 70 tys. mieszkańców. Niższa, otoczona częściowo rafami koralowymi posiada jedną z największych

w świecie rafinerii ropy naftowej (23 mln ton rocznie), a także duże destylarnie wody morskiej. Ludność uprawia rośliny garbnikowe (divi-divi), włókniście (agawa sisalska), hoduje bydło. Aruba otrzymała samodzielność pocztową i jej administracja będzie obejmować 5 wysp Holenderskich Antyli. Waluta: gulden (1/2 dolara amerykańskiego).

Mówią mi: napisz szopkę, dawniej pisałeś. Odpowiadam: dobrze — i tak jakoś mi schodzi. Po co wymyślać szopki, skoro samo życie jest szopką? Ibis — Ptak Ponury poucza w „Życiu Warszawy”, że słowo jasełka pochodzi od słowa jedzenie i że ze zwierząt, są w jasełkach przede wszystkim osioł i wół (dlaczego nie salami i wołowina)?

Obecność tych zwierząt, obdarzonych licznymi — wbrew utartym mniemaniom przypisywanym osłu głupotą i upór, a wołowi gnuśnością — cechami pozytywnymi, nie powinna urazić jednostek homo sapiens, o których będzie mowa w moich jasełkach, zwłaszcza, że są to jasełka na migi i na niby. Nie mniej warto wspomnieć, że ludzie łączą coś nie do siebie gatunkami, choćby pęd do złości, z tą różnicą, że zwierzęta pędzą, przeważnie stadami, gnane naturalnym instynktem, a ludzie... no sami wiecie.

Moje jasełka rozpoczynają rzemieślnicy z Sulęcina specjalizujący się w nagrobkach, niejaki Wojciech Grabowski, który reporterowi „Ziemie Gorzowskiej” oświadczył skromnie: „Jestem potomkiem króla”. Chodzi o Stanisława Augusta Poniatowskiego. Szkoda, że nie Heroda.

Trudno się czasem połapać, kto jest kim w PRL, zwłaszcza po przestudiowaniu wydawnego w 1985 roku informatora. Toteż z pewnością nie wszyscy wiedzą, co miał na myśli minister Jerzy Urban, mówiąc dziennikarzom na konferencji — co przekazała Telewizja, że solidaryzuje się z publicystą Janem Remem. Nie dodał, czy również z felietonistą Klaksonem i niejasność pozostaje w tej kwestii, nie tylko zresztą w tej.

Za to ciemność całkowita (można mylić z ciemnotą) spowija oświadczenie Lecha Wałęsy złożone zagranicznej prasie, że rok 1985 był rokiem straconym. Dla kogo? Bo np. dla mnie nie. Może dla tych, którzy gonią i nie doganiają, jak dzielny Janosik Marek Pełeczko z żoną Agnieszką Fitkau, którzy gonią za sławą w Australii, czy

byli lider Skaldów Andrzej Zieliński, który od paru lat w USA goni króliczka. Obydwa te fakty podaje dosłownie za Tomaszem Kalitą z „Polityki”.

Właśnie z „Polityką” wchodzę pod prysznic, by przeczytać kolejny kawałek Zygmunta Kałużyńskiego, tym razem o fasonach. I dowiaduję się, że mój ulubiony autor, laureat nagrody im. Prusa, nosi płaszcz Colombo, co go rozczuchwało. Ale na str. 367 swej książki pt. „Widok z pozycji przewróconego”, wyrażając pogląd, iż „pódupki można rozłożyć jednocześnie na dwóch stołkach”, co jest kolaboracją, pisze o sobie: „występuję jako dupa całkowita, tkwiąca na jednym tylko kiwającym się zrydu”. Ech mężczyźni, kto was zrozumie?

Porucznik Colombo w płaszczu czy bez jest brzydki, ma zęza i gdzieś mu tam do Kałużyńskiego, nie mówiąc już o zabójcy przystojnym poruczniku Borewiczu, czy nawet poruczniku Zubku też nie najgorzej, choć na emeryturze. Życie emeryta w PRL pokazał w telewizji Edward Dworowski i już wiadomo, że jest ono nie tylko szopką, ale i kabaretem.

Jednym i drugim jest też telewizja, od obrazu kontrolnego począwszy, na piosence na dobranoc skończywszy. „Ten kocioł jest kotłem pojemnym” — oświadcza inżynier. „Ta pojemność jest pojemnością optymalną” — mówi drugi. „A napelnianie jest napelnianiem automatyzowanym” — dodaje prowadzący program. Nie ma się co dziwić Marii Czubaraszek („Szpilki”) i jej mężowi Wojciechowi Karolowi (jazz), którzy na łamach „Życia Literackiego” wyznali, że uwielbiają siedzieć przed telewizorem, oglądając wszystko, zbiór rzepaku, buraków, sianokosy, przecinanie wstęgi, bo lubią rzeczy śmieszne, a nigdzie więcej na świecie takich rzeczy się nie zobaczy.

Telewizja to bura suka, której wszyscy wymyślają, choć ona przyniła się jak umie, udając raz niewolnicę Isaurę z Brazylii, a innym razem pana Miłkulego spod Sieradza. Jerzy Putrament w korespondencji z Wołomina poinform-

ował czytelników „Literatury”, że prezes Komitetu ds. Radia i TV Mirosław Wojciechowski chodził z przegrzonym językiem. Każdy by chodź, gdyby miał takie kłopoty, z dźwiękiem, i nie tylko.

„U nas każdy chce rządzić wszystkimi pozostałymi” — powiedział „Trybuna Ludu” zastępca przewodniczącego Rady Państwa Kazimierz Barcikowski. Racja, stanowczo za dużo rządzących, zwłaszcza, że mało kto ich słucha i każdy robi swoje. W tej sytuacji nie może zaskoczyć zdjęcie na ostatniej stronie tygodnika „Sprawy i Ludzie”, ukazujące tablicę na parkanie, który zastania budowę. Co się buduje za parkanem w mieście Wrocławiu? Nazwa obiektu „Pręgiarz” — informuje tablica.

Za popełnione winy — pod pręgierz. Albo do cegieł. Cegły leżą w sklepach z książkami. Nie wszystko rozumie, to prawda, ale żebyśmy nie mieli kompleksów, prof. Bogdan Suchodolski przyznaje na łamach „Tygodnika Kulturalnego”, że woli Rodziewiczówną od Joyce’a, a co za tym idzie „Wrzós” i „Dewajtis” od „Ulissesa”, którego nigdy nie przeczytał do końca.

Żyjemy w czasach dziwnych. Totolotek obliczył, że w 1985 roku Polacy zostawili w kolekturach 14,5 miliarda złotych. Za dwie stalowe nakrętki wielkości dionii, Baza Techniczno-Produkcyjna Krajowego Związku Spółdzielczości Zabawkarskich w Kielcach kała zapłacić klientowi 22,5 tysiąca złotych. Zabawki, szopki, kabarety. I jeszcze żele?

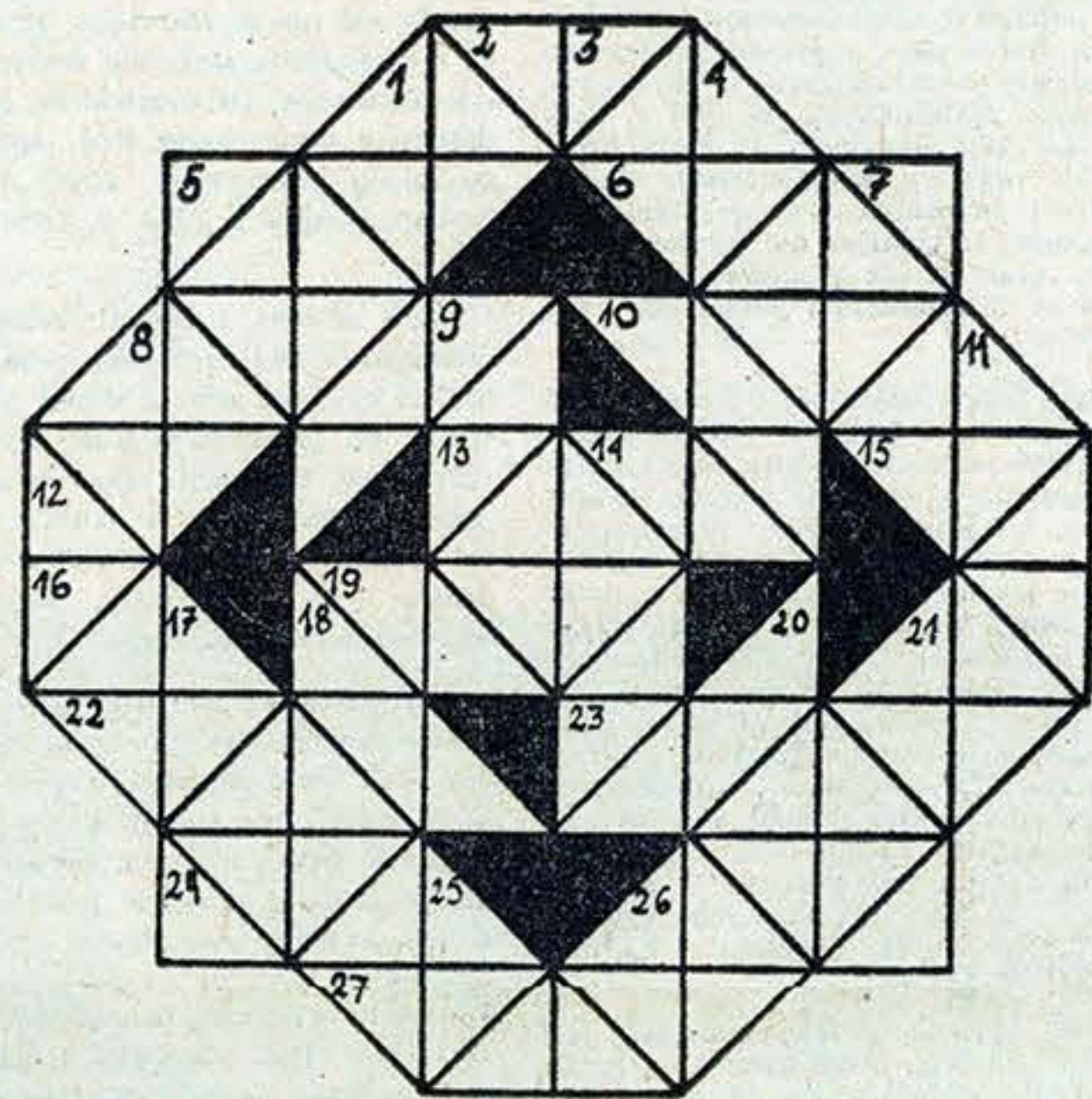
Wstąpiłam do Michała Tosia, zastępcy szefa „Gazety Lubuskiej”. Siedział tam sekretarz „Nadodrza” Wiesław Nożyński. Obaj panowie opowiadali sobie wrażenia z Sylwestra, gdzie byli, z kim i kto ich rwał w tę jedną, jedyną noc. Otóż byli w domach, a to, co ich rwało, była to rwa kulszowa. I na tym kończę moje jasełka. Za kolegdę dziękujemy, zdrowia, szczęścia wam życzy mi, w ten, wciąż jeszcze Nowy Rok.

HALINA ANSKA

???
KUPON NR 2
ILOŚĆ ROZWIĄZAŃ
2-3

nadodrza
Rozrywki umysłowe

Redaguje Zielonogórski Klub Szaradzystów



KRZYŻÓWKA MOZAIKOWA

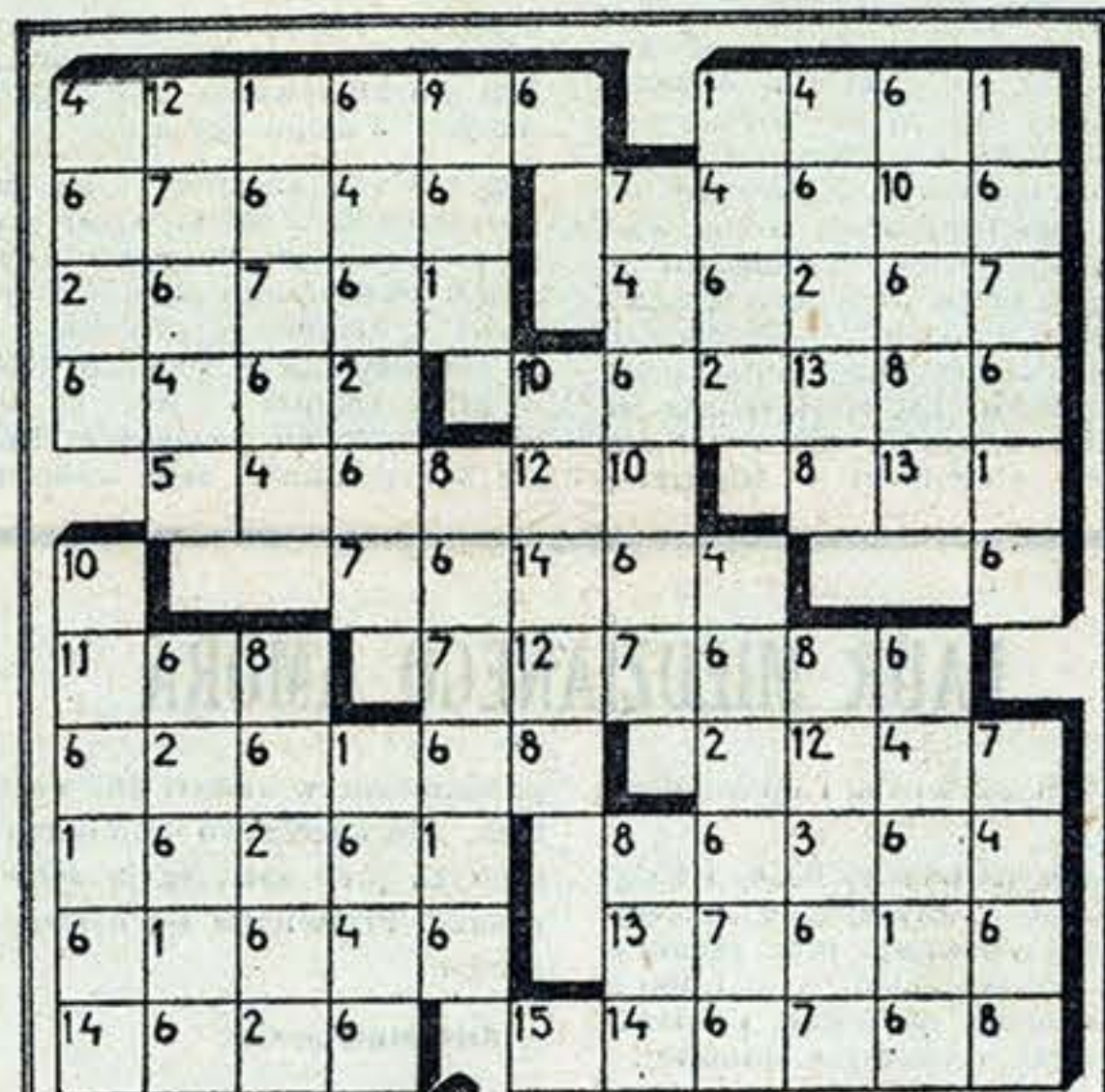
(Oprac.: „FIJAN”)

Poziomo: 1. Siarczek miedzi i żelaza. 5. Mieszkaniec Europy. 6. W muzyce — bardzo wolno. 8. Rodzaj makaronu. 10. Filoksera. 12. Założyciel Towarzystwa Filaretów. 13. Stator. 15. Głos lwa. 16. Śpiewająca pani Ewa. 18. Powód, świądek, biegły — w sądzie. 21. Rodzaj utworu poetyckiego. 22. Jeden z bohaterów filmu „Sami swoi”. 23. Wielobarwne paski jako watek do tkania. 24. Rzeka w Austrii i RFN. 26. Ściąg. 27. W mitologii greckiej tworzył pierwszą parę bogów. Pionowo: 1. Część zegara. 2. Okres czasu. 3. Największa rzeka Afryki. 4. Cienisty krzew. 5. Promieniotwórczy pierwiastek chemiczny. 7. Koń — reproduktor. 8. Szczyt w górach Kaukazu. 9. Brat Poluksa. 11. Piewik. 14. „pasazer” wieloryba. 17. Mistrz olimpijski w florcie mężczyzn w 1932 r. 19. Cienina między wyspami Jero i Honsiu. 20. Organizmy roślinne i zwierzęce zamieszkujące dno wód. 21. Dzielnica Gdańska. 25. Papuga. 26. Wybitny działacz polskiego ruchu robotniczego (1864—1941).

KALAMBUR

(Oprac.: „SPATY”)

Ciężarówka, ryby żebro — w tym wieku na włosach srebro



ARYTMO-KRZYŻÓWKA

(Oprac.: „ZEM”)

Odgadnąć znaczenie czterech przedstawionych obrazków i wpisać je na miejsce cyfr przy każdym z nich. Następnie litery odgadniętych obrazków należy przenieść na miejsce liczb w diagramie tak, aby powstała zwykła krzyżówka. Pamiętać należy, że jednokrotnym liczbom odpowiadają zawsze te same litery.

Rozwiązania zadań prosimy nadsyłać pod adres redakcji w terminie 14 dni od daty ukazania się numeru. Listy z rozwiązaniami trzech zadań weźma udział w losowaniu nagrody książkowej wartości około 250 zł. Czytelnicy, którzy w tym losowaniu nie będą mieli szczęścia weźma udział — razem z tymi, którzy rozwiązyli dwa zadania — w losowaniu dwóch nagród książkowych po ok. 150 zł. Na kopercie z rozwiązaniami należy nakleić zamieszczony powyżej kupon z zaznaczeniem ilości odpowiedzi.

Ze względu na bardzo dużą ilość nadesłanych kuponów, rozwiązanie „Krzyżówki noworocznej” z n-r 26(605) podamy w najbliższym numerze „Nadodrza”. Przepraszamy.

PeSTAWY
na migi

Komu to potrzebne?

Zjawiskiem niepokojącym i spotykającym często (zbyt często) jest przekonanie o bezsensowności solidnego wysiłku w pracy zawodowej, w działalności społecznej. To bardzo zaraźliwa choroba, żeby nie powiedzieć: epidemia.

Cóż przyjdzie lekarzowi z tego, że będzie wkładał całe serce w swoje obowiązki? Na co mu się przyda studiowanie aktualnej literatury fachowej? Pensja ta sama. Czy środowisko profesjonalne okaże uznanie, honory? Nie wiadomo. Jest różnica. Zwierzętność? Ma się tym interesować? Co innego, jeśliby wpływały uproszczone skargi. Wtedy przynajmniej znano by nazwisko obmarowanego indywiduum. A czytanie? Raczej dla frajerów. Przecież te godziny można przeznaczyć na „chaturzenie”. W sumie — chyba im mniej kompetencji, tym więcej pieniędzy. Niektórzy lekarze (i nie tylko lekarze) potrafia godzić biegiłość zawodową i fortunę. Szczęściarze. Ale tak w normalnym trybie — warto się wysilać? Zostanie to należyć do cenione? W finansach także? Nie wiem, czy powinniśmy zawsze wstydyć się mówić o pieniądzu. Tym bardziej wtedy, kiedy idzie o ludzi solidnych, uczciwych, pracowitych.

Czy prezesowi opłaca się molestować o inwestycje, dbać o przyszłość firmy, dokonywać ekonomicznych akrobacji? Może się i opłaca. Lecz, jeśli sobie powie: byle przeżyć, byle jakiś bieżący

zysk... Wówczas z reguły egzystuje spokojnie. Nie czepia go się bank, nie musi podpisywać chytrych układów z wykonawcami robót. Natomiast przedtem wtedy osiągnie finansowe gratyfikacje, ludzie otrzymają większe premie, w ogóle powszechne zadowolenie. Zatem po co się szarpać? Byle co dzień do przodu.

Z niektórymi młodymi ludźmi nie ma zna poważnie porozmawiać. Trzymają się swego, jak rzep ogona. Dookoła to są mł. No, bo jak on ma, w imię czego, przykładac się do roboty niczym szatan? Inni wszak się objawiają. Różnice w wynagrodzeniu? Do kogo ta gadka. Lepiej sobie nie zawracać głowy. Wyciągają jakiekolwiek taryfikatory, stawki... Koniec końców ciekaw na głupka wychodzi.

Wiadomo, iż uczciwa, ciężka praca do fortuny raczej się nie dojdzie. Wszystkie wyliczenia trzeba kończyć na czwar, piątym roku, bo później już w rachubę wchodzi dziesięciolecie i zwariować można. Kiedy dom, samochód? Jak że trudna — jeśli nawet realna — do tego droga.

A tymczasem młody obywatel palcem pokazuje na tego i owego, że przez całe życie migał się od uczciwego wysiłku, za co bierze pieniądze, za nie chyba nie odpowiada, a ma wszystko, żyje dostatnio i jest szanowany. Nie przekonuje takiego młodzieńca argumentacja, że na tym szluku właśnie polega, że to właśnie wymaga wysokich umiejętności i kompetencji. Nie skutkuje również za-

sadnienie, iż los po prostu; przecież ktoś może mieć szczęście — wygrana w loterii, ciocia za granicą, bogaci rodzice. Macha ręką. Wie swoje, jak jest u nich w zakładzie. Nie wyniesiesz, nie masz, musisz kupić. Ktoś chciał solidnie i sprawnie, to go wyrzucili. Niektórzy pewnie zauważą, że upieram się akurat...

Lecz coż nam z tego wychodzi? Ano tyle, że solidność, uczciwość, wielkie zaangażowanie w jakąkolwiek rolę zawodową, społeczną jest na ogół w niskiej cenie. Często się wcale nie opłaca. Najgorsze, iż takie właśnie jest powszechne odczucie.

Powoduje ono, że jednostki naprawdę wartościowe, mające wiele do powiedzenia i zrobienia, utalentowane wcale albo niechętnie czynią użytek społeczny ze swoich predyspozycji. W ten sposób pozostaje zamrożony duży potencjał intelektualny i fachowy. Trudno wymagać od wyjątkowo inteligentnego faceta, aby zechciał dobrowolnie, odgrywać rolę durnia.

Mamy uświadzić, iż napęd maszyn społecznej ma służyć miernotom i przeciętniactwu? Do czego i kiedy w ten sposób dojdziemy? I może jest to zgodne z generalnymi celami naszej polityki ekonomiczno-społecznej? Długo czekać nie wolno. Musimy stworzyć takie warunki, żeby obywatelom uczciwym, pracowitym, zdolnym opłacało się robić użytek z ich wspaniałych przymiotów.

STANISŁAW ŚWINIARSKI

— Masz rację. Nawet k... nie chcą. Brzydzą się. Wszyscy się brzydzą”. Tak trzymać!

TAK. W cyklu „Opowiadania” Bogdan Chorażuk pomieszczył w „Poezji” (nr 11 z ub. roku) taki oto tekst: „Tak i tak. Tak, tak. Tak sobie? Trochę tak, trochę nie tak, a trochę i tak, i nie tak. Trochę sobie, a nie trochę nie sobie? A więc komu? Komu się da. A komu, komu? Nikomu. Nikomu? Tak! Trochę. Lecz nie tylko. A ilko, ilko? Ilodasie? — Tyłodasie. Jak o to pytasie? Jakśmiesie? W zębodół (chce, czy co?). O nie? Raczejnie. Nie? Nie! Chybanie. Niechyba! Nie i nie. A może 1/2. Nie. Ojnie — ojnie. Nie — nienie. Nienieńcie. Nie? Raczejnie!”

Raczejnie! Na pewno nie! Napewno nie! Tak, nie!

WITRAŻOWY SMAK WINOGRON. Przypomina go J. M. w 5 numerze „Sztuki”, pisząc o witrażowej sztuce Marii Połajewskiej-Bardoskiej, której dwie prace zdobią Muzeum Ziemi Lubuskiej. W naukowem, lapidarnym nocie autor zdołał pamięć encyklopedyczną informację nie tylko o samych witrażach,

ale i o „wstawianiu obcej sztuki w polski krajobraz artystyczny. Potwierdza ona przynależność naszego kraju do kultury basenu Morza Śródziemnego”.

To ostatnie odkrycie jest doprawdy rewelacyjne!

SŁOWA OTUCHY DLA RYNDAKA? Autor „Czarnych aniołów” doczekał się kolejnego omówienia swego utworu. Tym razem głos zabrał Emil Biela z Myślenic („Życie Literackie” nr 3), w zgola chrześcijańskim duchu dodając otuchy autorowi. „Jeżeli bohater porusza się po konkretnych terenach, to ktoś może zakrzyknąć, że „Czarne anioły” to powieść produkcyjna i przypomnieć jej po krótką sławę”. Następnie autor recenzji odnajduje w utworze „chwytły a’la Jerzy Andrzejewski z „Miazgi”, poczem niespodziewanie konkluduje: „Ryndak, doświadczony dziennikarz, umie zabezpieczyć się przed ewentualnymi atakami krytyki. Zdaże sobie sprawę, że książka, którą stworzył, ma wiele mankamentów, że są to właściwie luźne impresje, notatki, surowy materiał do powieści...”. A myśmy sądzili, że powstało arcydzieło.

MoRGinałki

MARTWA DUSZA, ŻYWE CIAŁO. „Tygodnik Powszechny” (nr 2) nadaje z duchem czasu, publikując opowiadanie Romana Świątko pt. „Martwa dusza”, w której przelewa się od alkoholu, a i erotyki jest szczypta: „Dziwaczyny, mówisz? — Toni przeciągle spojrzal na S., powoli podniosł butelkę i pociągnął głębszy łyk, zbyt głęboki jak na niego. — Miałem taką jedną dziewczynę. W smutnym. Trwało to trzy lata. Wiesz tak w ogóle to ja jestem do niczego, ale to mam w porządku. — Są tacy, którzy tak w ogóle są do wszystkiego, ale z tym u nich fatalnie — autorytatywnie stwierdził S. Zamyślił się na chwilę, skrzywił i wypił kolejną wódkę. — To pocieszające. Tylko ta dziewczyna była ciężko chora. Normalne babki nie zwracają uwagi na takich jak my.